

KRONIKA ZAGRANICZNA,

LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

Bomby w Paryżu.—Nowy Korynt.—Wspomnienia z przeszłości.—Kartka z życia wieszcza naszego.—Ewunia.—Dom magnata polskiego za granicą.—Liwno: Wspomnienia Lamartina, Wiersze jego do panny Elizy Michałowskiej.—Kurs archeologii na pomnikach rzymskich.—Chateaubriand.—Neapol.—Zima w Rzymie 1829—1830.—Przyjazd Mickiewicza i A. E. Odyńca.—Czarodzień oczarowany.—Obraz hrabiego *** oddany w Stólniku Horeszee.—Improwizacye.—Wycieczki w okolicę.—Piumiciano.—Cyganka.—Albano.—Tivoli.—Piełgrzymka do Genezzano.—Opactwo benedyktynów w Subiaco.—Przechadzki po Rzymie.—Watykan przy pochodniach.—Wiersz: Do mego Cicerone.—Willa Doria Pamphili.—Paryż.—Genewa —Zygmunt K.—Zjazd w Medyolanie.—Opór hrabiego.—Powrót do Rzymu.—Henryk Rzewuski.—Pamiętki Soplicy.—Piotr Aiguer.—Niepokoje w Rzymie.—Wyjazd Adama.—Wróżba z Bajrona.—Bądź zdrowa!—Montalembert w Rzymie.—Pan Tadeusz.—Małżeństwo Adama!—Urywek z listu Zygmunta.—Ostatni list Mickiewicza z Marsylii.

Nie uskarżamy się bynajmniej na brak materyałów do korespondencyi, mamy ich pod ręką bardzo wiele. Sam Wiedeń pod względem nauki, sztuki i literatury dostarczałby nam nie mało zasobów. W teatrach tutejszych pojawiają się ciągle nowe lub wznowione dramata, o których byłoby co powiedzieć. W Operze przedstawiają coraz to nowe arcydzieła Wagnera. Na wystawie obrazów, widzimy mistrzowskie obrazy Maxa, cudne akwarelle Gejbla, w księgarniach nie brak nowych książek, tak naukowych jak i literackich, tak wierszem jak i prozą. A przecież w obec tych skarbów inteligencyi, pióro wypada nam z ręki, bo czémże te sztuczne dramata, czém te sztuczne obrazy, do tych żywych dramatów i obrazów, jawiących się dziś przed obliczem świata, na wielkiej arenie paryzkiej.

Mówicie tu dziś o historii, gdy stargany odwieczny jej wątek! mówicie tu o sztukach pięknych? kiedy widzimy wspaniały

fronton Panteonu, wiekopomne arcydzieło Dawida z Argers zdruzgotane w okrucy. Kiedy najgenialniejszy z malarzy dzisiejszych Regnault, twórca sławnej *Salome*, któremu zapewne danem było, stworzyć nową szkołę, nietylko dla Francyi, ale dla świata, padł ugodzony w piersi kulą? Mówicie tu o nauce, kiedy przepyszne zbiory *Muzeum* Ogrodu Botanicznego, owe sławne wykopaliska przedpotopowych skamieniałości, na których zgromadzenie składały się setki lat, rozwiały się prochem w oka mgnieniu? Kiedy owe sławne *Orchidee* za których zdobyciem pierwsi botanicy świata, strawili żywot cały, depoząc wyżyny Chimboraso nie tknięte ludzką stopą, zmiecione pociskiem stofuntowych granatów. Mówicie tu o prelekcjach i konferencyach, w chwili gdy luczy nam jeszcze nad głową poświst bomby, która w Kollegium francuzkiem padła u stóp professora ekonomii?

Przebaczą nam czytelnicy, jeśli pod wpływem tych strasznych i nadzwyczajnych wypadków, na których odgłos wstrząsły się najdalsze krańce ziemi, zmuszeni jesteśmy zostawić na boku dzisiejsze objawy inteligencji ludzkiej. Wszystko cokolwiekby o niej powiedzieć można, błędnieje w obec rzeczywistości.

Przychodzi nam tu mimowolnie na myśl, piękny obraz Tonny Roberta Fleury, który na ostatniej wystawie zjednął artystcie najpierwszy medal. Obraz to jakby proroczą skreślony ręką. Widzieliśmy tu przesławny Korynt w płomieniach! widzieliśmy zrozpaczone matki nad trupami martwych niemowląt! widzieliśmy starców, z ponurym wzrokiem i kłutwą na ustach, tulących się pod wrzęby zburzonych świątyn! widzieliśmy pysznego Mumiusza przyglądającego się w tryumfie burzącemu dziełu rzymskich kohort! widzieliśmy płynący rzeką po zgłiszczach grodu, ten sławny spiz koryncki, tę drogocenną mieszanię, na którą składało się tysiące stopionych posągów ze złota, srebra i miedzi, z którego to spizu miały powstać pyszne odlewy stanowiące epokę w dziejach sztuki i cywilizacji ludów! Widzieliśmy to wszystko i dziś przenosząc porównanie ze świata materji do świata ducha, widzimy więcej jeszcze! Widzimy dziś Paryż, ten nowoczesny Korynt, przetrawiający się w próbie ogniowej, wyrabiający w łonie swoim ów spiz nieznaný dotąd światu, ów spiz z którego przyszłość stworzy arcydzieła ku podziwieniu wieków.

Wyznajemy otwarcie że brak nam siły, aby w chwili tak wielkiej, patrzeć chłodnym okiem na opery, komedye i obrazy. Zostawimy je na później, a teraz przerzucmy naszą myśl w czas dawno upłyniony, daleki od nas o lat czterdzieści. Wydobywamy oto z teki naszej, *Notatki* tyczące się dwóletniego pobytu w Rzymie, największego z poetów i historyzofów tego wieku, którym pochlubić się mamy prawo. Przedmiot to zawsze ciekawy i ważny, bo najdrobniejszy szczegół z życia wielkiego męża, może być dla nas obojętnym?

Świeże wydanie listów Adama, i drogocenne wspomnienia o nim A. E. Odyńca, drukowane w Kronice Rodzinnj, r. z.

a przytem dwie świeże prelekcye Wincentego Pola rozświeciły w oczach ziomków tę olbrzymią postać. Obok tych ważnych publikacyj, drobne *Notatki* nasze, mogą jak sądzimy zająć uwagę czytelników Biblioteki.

Ktokolwiek z nas czytał Miekiewicza, a i któż go nie czytał? pamięta cudny obrazek młodzieuchnej Ewuni, modlącej się przed obrazem Najświętszej Panny; tej Ewuni, nad której głową ulatują wiankiem aniołowie, i kołyszą ją do snu, prawdziwie anielską piosenką:

Braciszka naszego sen rozweselmy,
Sennemu pod głowę skrzydło podścielmy,
Oczami, gwiazdami twarz mu oświecmy,
Śpiewając i grając latajmy wiankiem,
Nad czystym, nad cichym naszym kochankiem.
Rączeta liliowe na liście splecmy,
Za róże kwitnące czoła rozniecmy,
Z pod wstążek gwiazdzistych włos mu rozwiążmy,
Rozpuścmy w promienie, rozlejmy w wonie,
Kwitnącym, pachnącym, żyjącym wiankiem,
Kochanka naszego otulmy skronie.

Komuz nie znane te eteryczne dźwięki? ale nie każdy wie, czyje wspomnienie dobyło je z duszy poety, nie każdy wie kto była ta Ewunia, ten ideał niewinności dziewczęcej, tak żywo oddana piórem naszego wieszca.

Otóż my poznaliśmy tę Ewunię, a pozualiliśmy ją nietylko z postaci, nietylko z kilku słów pobieżnie zamienionych, ale mogliśmy zajrzeć do głębi jej samego serca, i odkryć w niem drogie skarby pamiątek.

Jezeli imię Marylli, pod której natchnieniem wyspiewał poeta część *Dziadów*, tak żywo obchodzi czcicieli wielkiego mistrza, nie może być dla nich obojętném, imię Ewuni, której obraz acz przysłonięty całunem, żyje przecież w Panu Tadeuszu. Cały ustęp o Jacku Soplicy, o dumnym magnacie Horeszku i uroczej córce jego Ewie, jest jakby kartą wydartą z życia samego wieszca. Wszystko tu prawdą: i wzajemne uczucia, i walka, i przeszkody, wszystko prócz rozwiązania dramatu. Morderstwo tylko stolnika przez Soplicę, jest jak się łatwo domyśleć fikcyą poetyczną.

Każdy pojmie jak byliśmy upragnieni posłyszec choćby kilka drobnych szczegółów o wielkim poecie, z ust tej, której obraz odbił się tak silnie w jego potężnym geniuszu. I jak tu przystąpić do rzeczy? Jak tu wspomnieć o tak dawno minionych czasach, o chwilach tak drogich jej sercu? Jak tu wysnuć z tego serca, ową przedzę pamiątek, tak głęboko chowanych, że każde zbyt silne poruszenie tego wątku, mogło boleśnie rozkrwawić nie zabliźnione rany? Sama Ewunia przyszła nam w pomoc. Pojęła ona, że nie

próżna ciekawość skłania nas do tych badań, tak niedyskretnych, gdyby ich nie usprawiedliwiała prawdziwe i gorące współczucie. Inaczej wprawdzie świat przywykł ją nazywać, my przecież zostawimy jej imię Ewuni, jest to bowiem drugie jej imię, a przytém, była ona Ewunią w sercu i pamięci Adama, niechże nią i dla nas pozostanie.

Początek był trudny, jak to bywa z każdym początkiem.

— Nie będzie to śmieszném—mówiła do nas,—wydobywać z przeszłości kwiaty, nie odpowiednie siwym włosom?

(Ewunia ma włosy miękkie jak jedwab, a bieluchne jak puszek łabędzi).

Potrąfiliśmy z wolna przekonać ją, że te kwiaty nie należą do niej saméj, że naród ma do nich niezaprzeczone prawo. Zresztą uczucie to, tak było czyste, tak idealne, że można śmiało ukazać je światu przed oczy.

Dzięki nieocenionéj dla nas łasce Ewuni, dozналиśmy prawdziwej radości, słysząc nie tylko wiele szczegółów o Adamie, ale niemniej i o innych znakomitych osobistościach wieku teraźniejszego. Ojciec Ewuni był jednym z tych magnatów polskich dawnéj daty, którzy przebywając za granicą, żyli jakby u siebie w kraju. Oni to utrzymywali owo przysłowie: co Polak to pan, przysłowie które dziś zastosować można do Anglików. Hrabia S..... do staropolskiej gościnności, łączył smak artystycznie wykształcony i głęboką erudycją; gdziekolwiek przebywał, progi jego domu otwarte były na oścież, tak dla swoich jak i dla obcych, z tą jednak różnicą, że jeśli z pomiędzy cudzoziemców znajdowali tylko przystęp ludzie uznanéj nauki i sławy, co do ziomków zato, dosyć było zwać się Polakiem, aby znaleźć w nich gościnne i serdeczne przyjęcie, a co więcej czynną pomoc i przytułek w razie potrzeby.

Hrabina S. równie jak mąż wykształcona, posiadała w wysokim stopniu ten dar właściwy wyższym kobietom, przyciągania ludzi do domu swego, i zamieniania w miłych gości tych nawet, którzyby przy inném, mniej ciepłym ognisku, nie umieli wydobyć z siebie tych skarbów rozumu i wyobraźni, jakimi ożywiali jej salon. Była to poważna matrona polska, i uprzejma pani domu w całym znaczeniu słowa.

Młodziuchna i uroczą jak kwiat Ewunia, jedyna córka hrabstwa, ukochana i wypieęgnowana jak oko w głowie, była też zapewne nie małą ponętą dla młodzieży, garnącej się do tego domu. Oprocz niej była tam jeszcze starsza o lat kilka towarzyska, uroczą a zarazem poważną Marcellina, która w lat kilka potem zamknęła się w klasztorze.

W owym to magnackim domu w Rzymie, przy ulicy *Mercede* „gwarno i tłumnie sejmikowała bracia szlachta,” jak się wyraża Mickiewicz w liście pisanym do Statlera. Tu jakby w kalejdoskopie widzimy przesuające się żywe postacie tak chlubnie odbite w dziejach literatury naszej. Tu wieszcz Adam w pełni

twórczej potęgi, wylewa z piersi słowa płomieniste jak lawa Wezuwiuszu, przy podzwieku piosenki o Filonie. Tu siedmnastoletni Zygmunt, poważny już i zadumany, porwany jednak ogólnym prądem, odzyskuje młodzieńczą swobodę, i wyrzuca słowa jak race, pełne ognia i życia. Tu nasz A. Edward Odyniec, towarzyszy i prawdziwy przyjaciel Adama, obok tej promienistej postaci, umi jednak świecić właściwym sobie blaskiem. Tu Henryk Rzewuski w chwili najwyższego rozkwitu swęj powieściopiskarskiej werwy, powtarza owe uroczę obrazki z przeszłości, które ujęte piórem, miały wkrótce rozgłosić jego imię. Tu Garczyński, ten bratni duch Adama, ogrzany jego genjuszem, dobywa z piersi jak skowronek na wiosnę, najpierwszą pieśń swoją. Tu pojawia się młodziuchny Juliusz, bujający na skrzydłach fantazyi. Miłoś to choć myślą spocząć przy tém ognisku, przy którym przewinęło się niemal to wszystko, co rzuca tak wspaniały blask na literaturę naszą, w czasach ostatniego jęj odrodzenia.

Hrabia z żoną i córką przebywali we Włoszech od r. 1827. Powodem ich podróży było nadzwyczaj wątłe zdrowie jedynaczki, zagrożonej chorobą piersiową. Zaczem przybyli do Rzymu, gdzie dom ich stał się niemal historycznym, przez kilka lat przejeżdżali się z miejsca na miejsce. Stosownie do rady lekarzy bawili kolejno to w Pizie, to we Florencyi, to w Liwurno, to na wyspie Elbie, a nawet i w Korsyce. Łatwo pojąć, o ile taka podróż pod okiem światłych rodziców, musiała wpłynąć na rozwijanie się zdolności młodziuchnej Ewuni, obdarzonej z natury bogatą wyobraźnią, bystrém pojęciem, wrodzonym zmysłem artystycznym, a do tego zadziwiającą pamięcią, która przetrwała do dziś dnia w całej sile.

Z pobytu swego w Liwurno, wspominała nam znajomość z Lamartinem. Willa państwa S. dotykała willi, którą zajmował poeta z żoną i kilkuletnią córeczką Julią. Wkrótkim czasie zbliżyły się do siebie, dwie sąsiadujące rodziny. Lamartine upojony własną sławą, nie miał w obejściu tęg nadzwyczajnej łatwości, właściwej Francuzom. Pani Lamartine Angielka sztywniejsza była jeszcze od męża. Najwięcej przypadła do serca Ewuni, mała Julia, tak gorąco ukochana, a tak gorzko opłakiwana przez ojca, która z tylu względów przypomina nam Urszulkę Kochanowską. Cudnie piękne było to dziecko, pełne idealnego uroku, ale trawiące już wewnętrzną chorobą, dla której rodzice wkrótce potem zabrali ją na Wschód, żkąd przywieźli martwe jęj zwłoki.

Lamartine od dziesięciu lat był już ożeniony z nadzwyczaj bogatą Angielką. Spotkali się oboje we Florencyi, gdzie poeta przebywał jako sekretarz ambasady francuskiej. Młoda egzaltowana miss, czytała z zapalem *Harmonie poetyczne*, a te tak rozkołysały jęj wyobraźnię, że postanowiła bądź co bądź, poznać czarodzieja, którego słowo tak cudowny wywierało urok. Nastąpiło to wkrótce. Lamartine rozmarzony jeszcze wspomnieniem zmarłej niedawno Elwiry, nie patrzył nawet na Angielkę. Uczucie jęj tymczasem wzrastało z coraz to większą siłą. Zdobyła się wre-

szenie na krok stanowczy: napisała list mniej więcej w tych słowach: „Czytałam poezye pańskie. Mówisz, że nie ma serca, któreby uderzało harmonijnie z twojem: otóż moje tak właśnie uderza. Mówisz, że nie ma duszy, któraby ci umiała odpowiedzieć: otóż moja odpowie ci godnie!” Poeta nie miał siły opierać się na leganiu. Ślub nastąpił w niedługim czasie.

Mówiąc o Lamartinie, przypominamy tu inne uczucie jakie obudził i to w sercu Polki. Było to uczucie zupełnie idealne, poeta bowiem oddawna był żonaty. Oczarowana nim osoba, nie mogła liczyć na jego rękę. Była nią panna Eliza Michałowska, zamieszkała z matką w Wiedniu. Czytanie poezyi Lamartina, w dziwny sposób wyegzaltowało jej wyobraźnię, przysposobioną do chorobliwych uniesień w skutek niedawnej śmierci ojca. Dnia jednego pod wpływem zachwyty napisała list do poety, wyrażając cześć swoją w najgorętszych wyrazach. Naiwny ten objaw uwielbienia, trafił do serca Lamartinowi. Odpisał jej natychmiast, i przysłał wiersz umyślnie dla niej utworzony, jeden z najrzadziej jakiegostawili. Łatwo pojąć radość Elizy: większa jeszcze radość, czekała ją w lat kilka potem, kiedy poeta wracając ze Wschodu, mimo boleści po skonie córki, nie przepomniiał wdzięczności ku młodej Polce. Przejeżdżając przez Wiedeń, dowiedział się gdzie mieszka, odwiedził ją, a na pamiątkę zostawił jej ślicznego pieska.

Panna Eliza M... żyje dotąd i mieszka stale w Wiedniu, gdzie została kanoniczką. Od tej chwili nie widziała nigdy Lamartina, ale jak można się domysleć pochłaniała każde słowo wybiegłe z pod serca poety. Ideal karmiony od młodu wystarczył jej na życie.

Powróćmy teraz do Ewunii. Przybyła ona z rodzicami z Liworno do Rzymu, w końcu roku 1828. Uszczęśliwiona była z tej podróży. Przeczucie jakieś szeptało jej, że tu tylko odzyska zdrowie. Jakoż siły jej powracały z dniem każdym; rodzice odetchnęli swobodniej. Wówczassto szesnastoletnia panienka zabrała się gorliwie do nauki, aby powetować czas stracony. Przyszło jej to bez trudu, dzięki wrodzonym zdolnościom i nadzwyczajnej pamięci. Stosownie do woli ojca, odbyła w Rzymie dokładny kurs archeologii, oglądając drogocenne pomniki wiecznego grodu. Przewodniczył jej w tych wycieczkach sławny archeolog Visconti, fanatyczny miłośnik starożytności pogańskiej. Na *Forum Romanum*, na górach *Kapitolinckiej* i *Palatinatu*, poznała zabytki Romy, przesławnej pani świata; w głębi katakumb, na kościołach męczenników, na kolosseum u stóp krzyża, wyczytała pierwsze zgłoski chrześcijańskiej cywilizacji, dla której tryumfu potrzeba było aby tarany Gotów i Longobardów, rozkruszyły w proch pyszne świątynie, wzniesione ku czci olimpijskich bożyszczy, i ku czci zbożyszczonego cezaryzmu! Wspaniałe bazyliki dały jej poznać rozwijającą się myśl chrześcijańską, wyrażoną w nieśmiertelnych arcydziełach dłuta i pędzla. Zwiedzanie przesławnych muzeów

wykształciło jej smak artystyczny. Dodajmy jeszcze grono uczonych podróżników różnej narodowości, którzy garnęli się w gościnne progi hrabiego S., dodajmy nauczające rozprawy w salonie rodzicielskim, a zrozumiemy o ile bystry umysł dziewczynki, musiał kształcić się pod wpływem takiego otoczenia.

Wówczasto poznała Chateaubrianda: przebywał on w Rzymie jako poseł Karola X-go. Sława otaczała wtedy pełnym blaskiem imię poety, który oprócz Lamartina nie wielu jeszcze liczył współzawodników. Świetna ta gwiazda pociągała ku sobie oczy Ewuni, zaciekawionej przesłanicznym listem o Rzymie, świeżem dziełem Chateaubrianda. Wielka też była jej radość, kiedy z powodu wyświęcania księży w kościele świętego Jana Laterańskiego, hr. Ostrowska, późniejsza Małachowska, zaprosiła do łoża hrabiego S. z rodziną. Do téjże łoży zaproszony był Chateaubriand. Obrzęd przeciągnął się długo, po nim nastąpiło śniadanie w domu hr. Ostrowskiej. Te kilka godzin pobytu z wielkim poetą, odebrało wszelki urok Ewuni. Jeśli wielką była zasługa jego i sława, niesłychana pycha czyniła go nieznośnym. Dowcipnie też mówiono o Chateaubriandzie, że w przekonaniu jego, Pan Bóg winien mu tyle wdzięczności za dzieło o Geniuszu Chrześcijaństwa, ile mu winni Burbonowie za broszurę napisaną w ich obronie. Patrząc na tę nadętą postać, Ewunia przypominała sobie te słowa i uznała całą ich słuszość.

Z wiosną 1829 roku hrabia S. z rodziną opuścił Rzym a udał się do Neapolu, gdzie powiew od morza, mniej czynił dokuczliwym skwar letni. Był podówczas w Neapolu, uczony Strzelecki, później bibliotekarz w Willanowie, z wychowankiem swoim księciem Alexandrem Czartoryskim. Z Enejdą w ręku oglądali razem, miejsca unieśmiertelnione piórem Wirgillego i sławny grób poety. Zwiedzali razem Pompeją, Herkulanum i Wezuwiusz.

Jeżeli Ewunia zdobyła wielki zasób ogólnych wiadomości, za to wykształcenie jej pod względem dziejów i literatury ojczystej bardzo było zacofane, w skutek ciągłych podróży i słabego zdrowia. Strzelecki prześladował ją nieraz, że źle wymawia po polsku. Ale zbliżała się chwila prawdziwej reakcyi.

W Neapolu otrzymała hrabina list ze Lwowa, od znajomej swojej pani Puszetowej. Korrespondentka mówiła z uniesieniem, o świetnej gwiazdzie na literackim widnokręgu, o wielkim poecie litewskim. Na dowód, przysłała kilka przepisanych ballad i sonetów. Ewunia odczytywała je z zapalem. Te krótkie urywki odkryły przed nią całe bogactwo ojczystego języka, i cały urok rodzinną poezyi. Strzelecki widząc jej uniesienie, wynalazł między książkami swemi, jedyny jaki miał tomik poezyi Adama. Nowy świat otworzył się przed nią.

W jesieni rodzina S. powróciła do Rzymu. Wkrótce przy był tam i Strzelecki z wychowankiem. Przywiózł z sobą Wahlenroda i Dziady, a co więcej zapewnił, że sam wieszcz przybędz

nie za długo; że zwiedza obecnie północne Włochy z przyjacielem swoim Edwardem Odyńcem, zimę zaś obaj zamierzają przepędzić w Rzymie. Radość Ewuni była nie do opisania. W trzy dni nauczyła się na pamięć Dziadów, w tydzień umiała Wallenroda. Wallenrod zachwycił jej wyobraźnią, Dziady silnie poruszyły młode serce. Matka podzielała zachwyt córki.

Wieszcz litewski oczekiwany był z niecierpliwością w domu przy ulicy Mercede. Ewunia przemyślała o nim bez ustanku. Obraz jego wymarzony w młodej wyobraźni stał jej wciąż przed oczyma. W myśli jej Adam był olbrzymiego wzrostu, nosił długi surdut popielaty, z kieszeni wyglądały mu zawsze książki i wielkie zwoje papierów. Przemawiał jak starożytny angur z trójnoga, każde słowo miało być tak palące jak monolog Gustawa z Dziadów.

Nadeszła wreszcie oczekiwana chwila. Dnia jednego, było to w listopadzie, hr. S. zaproszony był na wieczór do cudzego domu. Za powrotem opowiadał poznanie swoje, z tylko co przybyłymi poetami, Mickiewiczem i Edwardem Odyńcem. Obaj przyrzekli nazajutrz wieczorem, odwiedzić dom hrabiego. Ewunia drżąca od radości i niepokoju, oczekiwała niecierpliwie, zwykłej godziny zebrania. Wieczorem przybył p. Edward sam; oznajmił że przyjaciel słaby nieco w skutek znużenia, zmuszony był odłożyć odwiedzin.

Przyszli obaj we dwa dni potem. Mickiewicz dosyć dziki i odludny w tym czasie, byłby może zwłóczył jeszcze poznanie z rodziną S.; znęciła go jednak ciekawość zobaczenia Ewuni, którą pan Edward przedstawił mu jako żywy portret Marylli Wereszczakówny.

Wyobraźmy sobie zdziwienie młodej panienki, gdy zamiast olbrzyma w długim popielatym surducie, zobaczyła poetę w rzeczywistej postaci, ubranego jak wszyscy. Nie było to jednak rozczarowanie; rzeczywistość była w jej oczach wyższą od ideału. Uderzyło ją od razu to piękne oblicze, jakby wykute z marmuru dłutem mistrza, nacechowane pogodą i spokojem; te oczy głęboko osadzone, ocienione długą rzęsą, pełne ognia i siły; ta cera blada, oliwkowa, ta brew zarysowana czarnym łukiem, te długie ciemne włosy, odrzucone w bezładzie na tył głowy; uderzyło ją szczególnie czoło kształtne, wysokie, białe przy ogorzałej twarzy, to czoło z którego wytryskała niby promienistą aureola.

Adam miał wtedy rok trzydziesty drugi. Na pierwszy rzut oka wydawał jej się starszym; z czoła tylko przyswiecał blask młodości.

Utrzymuje ona, że żaden tak dawny jak i późniejszy portret Mickiewicza, nie oddaje dokładnie, ani rysów jego, a tem mniej wyrazu twarzy. Dawniejsze całkiem niepodobne, późniejsze fotografie, może i wierne, ale tu już nie ten Adam jakim był w młodych latach. Rysy nawet zmienił do niepoznania.

Jeżeli postać Adama przedstawiła się oczom Ewuni inaczej niż ją widziała w ideale, to sposób wyrażenia się w większy jeszcze wprowadził ją podziw. Słowa jego malowały każdą rzecz obrazowo i trafnie, ale z niesłychaną prostotą. Uderzyło ją szczególnie, gdy przy pierwszym widzeniu, określając kościół świętego Piotra, mówił, że *ma czapkę na głowie*. Ta czapka wyborną była dla niej definicyą sławnej watykańskiej kopuły.

Zwykle rozmowna i ożywiona, Ewunia tego wieczoru ledwie kiedy niekiedy, ośmieliła się wyrzec słówko. Widok wielkiego poety, odbierał jej odwagę. Nie spuszczała go z oczu, pochłaniała chęciwie każdy wyraz, jaki mu zbiegł przez usta.

Wkrótce potem hrabia zaprosił na obiad dwóch poetów li-tewskich. Ewunia siedziała przy Adamie. Milcząca i nieśmiała, jak zwykle w jego obecności; przeczuwała ona instynktowo, całą potęgę tego wielkiego geniuszu; bała się też odezwać, aby nie powiedzieć coś niepotrzebnego, i nie okazać się dzieckiem w jego oczach. Nie domyślała się wcale, że ten właśnie dziecięcy jej urok, silniej pociągał poetę, niżby go pociągnęły najpłynniejsze słowa.

— Zbudowała mnie pani—rzekł do niej z uśmiechem przy obiedzie. Pani jak widzę, nie grzeszy wielomówstwem!

Ewunia zapłonęła się, spuściła oczy; chciała coś odpowiedzieć: słowa przyrastały jej do ust.

Bard tymczasem—jak go nazywano w domu—coraz to częstszym byłym gościem. Wkrótce po tym obiedzie, spodziewany był na wieczór. Zdarzyło się że hrabia w tym dniu, zaproszony do kogoś, zmuszony był koniecznie dom opuścić. Odchodząc niepokoił się bardzo, kto zabawi poetę; hrabina bowiem czekała na odwiedziny dwóch pan, nie zbyt odpowiednich ukształceniem, towarzystwu jakie się w domu zgromadzało. Uprzejma gospodyni czuła się w obowiązku bawić przez wieczór owe panie. Hrabia też odchodząc z domu, zalecił usilnie Ewuni, aby nie dała się znudzić poecie. Trudnyż to był dla niej obowiązek. Zadrzała! jak tu zmusić nieposłuszne usta do mówienia?

Spodziewane panie przybyły pierwsze. Hrabina usiłowała wprowadzić rozmowę na ton cokolwiek poważniejszy. Niepodbina! co chwila urywał się wątek. Trzeba było mówić o modach. Usta dwóch pan rozwiązały się cudem. Wpadłszy raz na przedmiot kapeluszków, wymowa płynęła jak żywy strumień wody. Nagle odezwał się dwonek w przedpokoju: oczy matki i córki spotkały się z trwogą.

Adam wszedł sam jeden do salonu.

Gdyby przynajmniej towarzyszył mu pan Edward, pomyślała Ewunia, łatwiej przysłoby utworzyć jakieś osobne kołko i oddalić od ucha barda, tę nieszczęsną rozmowę o kapeluszkach.

Pan Edward pozostał w domu, zajęty zapewne pisaniem jednego z tych prześlicznych listów przeplatanych wierszem i pro-



zają do Juliana Korsaka lub Ignacego Chodźki, tych listów o których tak pięknie wyraża się poetka nasza:

Listy z podróży obieżył świat cały,
Wszędzie witane jak list przyjaciela;
Zdrowie z nich tryska jak aromat z ziela:
Dowcip z nich puszcza nie zatrute strzały.

Hrabina przedstawiła poetę paniom.

— Czy to ten co pisze wiersze? — poszepnęła jej do ucha jedna z modnych pań, podczas gdy druga rzuciła banalne zapytanie:

— Jakże się panu Rzym podoba? długoż pan tu zabawiał?

— Tak, to nasz wielki poeta — odszepnęła hrabina.

— Słyszałam jak chwalono wiersze pańskie — zagadnęła pierwsza, obracając się do Adama. A czy wiele ich pan napisał?

— Wiele i nie wiele, jak dla kogo — rzekł Adam.

— A czy one długie te wiersze?

— Są na wszystkie miary, i takie króciutkie, i takie, i takie, nawet takie! Mówiąc to, dla lepszego określenia rzeczy, lewą ręką znaczył miarę na prawej, od palca, do końca piędź, do łokcia aż po ramie.

Druga z pań tymczasem o zgrozo! powróciła do dawnego przedmiotu. Nieszczęsne kapelusze wystąpiły znów na plac.

Ewunia płoniła się, to znowu bladła na przemiany. Próżno łamała głowę jakby zaradzić złemu. Adam tymczasem z całą prostotą właściwą wielkim geniuszom, wmięszał się do rozmowy, o czym? o kapeluszach!

— Nieraz — rzekł — przemyślałem nad dwoma rzeczami: w jednej z nich panie najlepiej innie zapewne objaśnią. Gdzie się podziwiają stare zające i stare kapelusze?

Nie wiemy jak panie rozwiązały zagadkę. Co do zające rozwiązał ją później sam poeta, kiedy wsparty podaniem łowieckim, stworzył w bogatej wyobraźni ów cudny obraz *Matecznika* w głębi puszczy litewskiej:

Kędy blizcy śmierci,
Pióra składają ptaki, czworonogi sierści
Zając sędziwy, gdy mu już krew w żyłach krzepnie;
Kruk kiedy osiwieje, sokół gdy osłepnie.

My na zeszłorocznej wystawie obrazów, widzieliśmy podobny matecznik starych kapeluszy. Był to wózek gałganiarza, z owym epilogiem

Gdzie zmieciony skrzydłem burzy,
Wiednie urok życia wszystek;
I wczorajszy listek róży,
I wawrzynu żółtkły listek!

Lecz wróćmy do Ewuni. Instykt kobiecy przyszedł jęj w pomoc. Siadła nieśmiało do fortepianu. Adam stanął za krzesłem. Sposób jęj grania rzewny, słodki jak ona sama, dziwnie przypadł do serca poecie. Zagrała najprzód modną podówczas fantazyą Herca *la Violette*, następnie *Menuetu z don Juana*. Ten ostatni szczególnie zachwycił Mickiewicza. Lubił on nadzwyczaj muzykę. Utrzymywał on, że modulaeyą tonów, nie równie więcej można wypowiedzieć, niżli słowem. Od tego pamiętnego wieczoru, Ewunia często grywała na jego prośbę. Nie raz nawet przygrywała mu do improwizacyi dumkę o Filonie, lub znana pieśń kantyczkową: *Anioł pasterzom mówił*. Były to dwie uprzywilejowane melodye, które wydobywały natchnione słowo z ust wieszczki.

Razu jednego gdy Adam miał improwizować, pan Edward który czytał w duszy przyjaciela jakby w otwartej księdze, pragnął uczynić zadosyć jego upodobaniu.

— Niech mu pani zagra piosnkę o Filonie—rzekł z cicha do Ewuni.

Ona nie znała tej piosenki, ale hrabina pamiętała ją z dawnych czasów.

— Któżby dziś grał takie stare rzeczy!—rzekła z uśmiechem matka.

— Stare rzeczy!—powtórzył smutno Adam, i czoło jego powlekło się chmurą. Wartoż to pisać dla pań! Biedni poeci! za lat dwadzieścia lub trzydzieści, nikt już nie powtórzy, nikt nie spamięta tych słów, które dziś tak serca poruszają.

Nazajutrz potem, Ewunia umiała grać piosenkę o Filonie.

Muzyka skruszyła pierwsze lody; usta Ewuni rozwiązały się wreszcie. Poeci litewscy stali się codziennymi niemal gośćmi w domu hrabiego. Atmosfera tego domu oddziaływała na Mickiewicza. Struna religijna, cokolwiek może przytępiona, silnie zadźwięczała w jego sercu.

Raz gdy przybył wieczorem, Ewunia opowiedziała mu sen jaki miała ostatniej nocy.

— Śniło mi się—mówiła—żeśmy tu wszyscy zebrani byli tak jak teraz. Nagle przyszedłś pan prowadząc ślicznego baranka, bieluchnego jak mleko, na różowej wstążeczce.

Mickiewicz zadrzał na te słowa.

— To sen proroczy!—zawołał z uniesieniem.

— Jakto proroczy?—zapytała Ewunia — i cóżby on miał wróżyć?

— To—odparł poeta—że dziś rano właśnie przystępowałem do stołu Pańskiego.

Tajemny węzeł coraz silniej łączył te dwa serca. Ewunia jednak nie zdawała sobie sprawy z własnych uczuć. Pochlebiali ją to niewątpliwie, gdy spostrzegła zwróconą na siebie uwagę wielkiego poety, lecz nie widziała w tém zajęciu nic więcej nad proste współczucie. Matka przezorniejsza od córki, lepiej może

czytała w sercu tak Adama jak i Ewuni, ale dobra matka wysoko oceniała geniusz i charakter wieszczą; w oczach jej zalety osobiste i potęga tego geniuszu, zapełniały przepaść jaką dzieliła ubogiego Litwina, od panienki wysokiego rodu, przyszłej dziedziczki milionów. Bez obawy patrzała też w przyszłość, powierzwszy Bogu los córki.

A ojciec? ten z razu nie dostrzegł wzajemnych uczuć, nie przypuszczał niebezpieczeństwa. Sądząc po sobie mniemał, że młoda hrabianka, zbyt wiele ma w sercu rodowej dumy, aby mogła upodobać sobie człowieka, niższego od niej urodzeniem, majątkiem, kolligacją. Przyjmował też uprzejmie Adama, pozwał na to, że nasz wieszcz równie uczony jak genialny, spostrzegłszy w Ewuni nieznojącość historii i literatury polskiej, usiłował zapełnić ten brak w jej wychowaniu. Miał on nie mało książek, przynosił też wieczorami ulubione sobie utwory poetyczne, i czytywał je na głos. Z nowej literatury najlepiej lubił Wiesława Brodzińskiego, i tragedję Kropińskiego Ludgardę.

Z dzieł historycznych, czytywał z Ewunią Wagę, Lelewela, Naruszewicza. Zalecał jej wypisywać treść z przeczytanych książek, poprawiał sam jej wypracowania. Łatwo zgadnąć ile Ewunia korzystała przy takim mistrzu!

Spostrzegł wreszcie hrabia, że te lekcye mogą się stać niebezpiecznymi. Czoło jego zasepiało się ilekroć widział Ewunię przy Adamie. Stawał się coraz podejrzliwszy, gniewała go nawet kordkarda zielona, *koloru nadziei*, którą córka nosiła zwykle tej zimy.

Dnia jednego przyniósł jej angielską książeczkę lady Morgan *A book of boudours*. Był to zbiór powiastek, przeznaczony dla młodych osób. W jednej z tych powieści, autorka ostrzega panienki, aby nie ufały miłości poetów. „Poeci bowiem patrzą na świat przez pryzmat własnej fantazyi: uczucia ich gorące lecz nietrwałe”.

Mieszkała podówczas w Rzymie piękna pani Guicioli Teresa, z płomienistym włosiem i czarnemi oczyma, sławna z miłości jaką przed kilku laty obudziła w Bayronie. Poeci nasi bywali niekiedy u niej, ciekawi szczegółów z życia niedawno zmarłego wieszca Albionu. Mówiono o niej często, powtarzano jej słowa o Bayronie.

— Piękna mi chwala—rzekł raz hrabia gdy goście się rozeszli—zeby kto kiedy wytykał palcem moją córkę, jak dziś wszyscy wytykają tę panią Guicioli!

Słowa te były surową przestrogą, ale niewinna Ewunia wcale nie pojęła ich znaczenia. Wiedziała ona że pani Guicioli nie żyje z mężem, sądziła że dla tego wytykano ją palcami, że dla tego ojciec sądził ją tak surowo.

Niechęć hrabiego zręcznie pokrywana światową ogładością, nie uszła przenikliwego wzroku Adama. Czytał on głęboko w tém dumném sercu; wiernie też oddał myśl hrabiego, w obrazie stolnika Horeszki:

Gdyby nie przyjmował
 Mych odwiedzin, to kto wie, możebym odjechał,
 Pogniewał się, połajał, w końcu go zaniechał;
 Ale on chytrze dumny, wpadł na koncept nowy,
 Udawał, że mu nawet nie przyszło do głowy,
 Żebym ja mógł się starać o związek takowy!
 A byłem mu potrzebny, bom miał zachowanie
 U szlachty i lubili mnie wszyscy ziemianie;
 Więc on niby miłości mojej nie dostrzegał,
 Przyjmował mnie jak dawniej, a nawet nalegał
 Abym częściej przyjeżdżał, a ilekroć sami
 Byliśmy, widząc oczy me przyémione łzami
 I pierś zbyt pełną, i już wybuchnąć gotową,
 Chytry starzec wnet rzucił obojętne słowo;
 O mych dawnych miłostkach, bo prawda niestety!
 Że już bałamucilem i dawniej kobiety.
 Zwyczajnie młody głupiec! On gadając o tém
 Przy córce, jakby serce przeszywał mi grotem;
 I po takich wspomnieniach w rozpacz i gniewie,
 Czulem że już nie mogłem mówić mu o Ewie (1).

Zima ubiegła jak sen. Oprócz zwykłych wieczorów przy ulicy Mercede, gdziekolwiek Ewunia ruszyła się z matką, wszędzie spotykała Adama. Wchodząc w niedzielę pod sklepienia S-go Piotra, widziała go zawsze wspartego o kolumnę, spotykała jego wzrok tak wymowny. Na każdej przechadzce do starożytnych ruin znalazł się zawsze Adam. Nie były to właściwie umawiane schadzki, ale czasami wieczorem hrabina rzuciła mimochodem słówko, poeta podejmował je w przelocie; czasami nawet prosty instynkt serca, prowadził go w strony gdzie miała być Ewunia.

Pozostała jej szczególniej w pamięci przechadzka po ementarzu protestanckim, gdzie odwiedzała z matką grób znajomej; ztamtąd poszli do pobliskiego pomnika Cajusa Cestyusza, zbudowanego w kształcie piramidy egipskiej. Przejście było trudne przez jakąś wodę. Adam pochwycił ją jak piórko i postawił przy starożytnym pomniku. Ewunia przeleciała się, zapłonią nie śmiała podnieść oczów.

W kilka miesięcy potem, darował jej Adam odlamek kształtu skalnego znaleziony u stóp *Mont Blanc*. Prosił aby kazała wykuć z niego pieczętkę i wyryć na niej pomnik Cajo Cestio, a poniżej dwa słowa: *Oby razem!*

— O! ja nie chcę takiego grobowego wspomnienia—zawołała—co gorsza, grób pogański!

(1) Ostatnie sześć wierszy pomieszczone są w przypisie jako *waryant* w wydaniu lipskiem z r. 1862.

— A więc—rzekł Adam—każ pani wyryc: *Złożmy na pana staranie.*

I tak się stało, pieczętka ta istnieje dotąd.

Na jednej z tych miłych przechadzek, Ewunia ośmielając się co raz bardziej, opowiadała mu żartobliwie jakim się przedstawiał w jej wyobraźni wprzód zaczęła go poznać.

— Kto więc—odrzekł Adam—czy mnie nie krzywdzi ten wysoki w popielatym surducie. Gotówbym mu doprawdy zazdrościć!

Hrabia żądał mieć portret, pędzła sławnego malarza Crafo-naro. Ewunia w błękitnej sukience, chodziła z matką do pracowni artysty. Adam uprzedzał je zwykle w towarzystwie Statlera. Posiedzenia przeciągały się zazwyczaj bardzo długo; było ich kilkanaście. Ożywiał je poeta ciekawem opowiadaniem, a niekiedy rozprawami o literaturze i historii. Gdy w wiele lat później Ewunia odczytywała sławne prelekcye, przypominała sobie w wielu z nich, słowa zasłyszane niegdyś w pracowni Crafo-nare'go.

Nadeszła wiosna. Słońce marcowe, tak pogodne, tak ciepłe, pod włoskiem niebem, rozwinęło drzewa i kwiaty. Z wiosną zaczęły się uroczne wycieczki w okolicę. Należało do nich zwykle około dwanaście osób: hrabia S. z żoną, Ewunią i Marceliną, Adam z nieodstępnym towarzyszem, Strzelecki z wychowankiem, malarz Statler, Garczyński i inni. Wspomnimy tu kilka z tych uroczych przejażdżek. Może nie jeden z ziomków naszych, zwiedzając kiedyś Tivoli, Frascati lub Subiaco, szukać będzie w tych miejscach śladu stopy wielkiego wieszczą, którego imię tak jasno przyswiewca nad narodem.

Pierwszą wycieczkę odbyli do ujścia Tybru w Fiumicino. Cudna ta droga przez kampanię rzymską, nad *miętym Tybrem* jak go nazwał Wirgili. Zwiedzali razem piękny kościół *Ave Marya Stella*, zbudowany na skale po nad rzeką. Szczególna niespodzianka czekała ich na wyspie *Isola Sacra*. Oglądali właśnie gruzi świątyni Jowisza, onęj świątyni, z której głosili niegdyś wieszczby starożytni augurowie. Ewunia z towarzyszką zrywała myrty rosnące na zwaliskach. Mickiewicz poruszony widokiem miejsca, zaimprovizował wśród tych myrtów.

Ledwie że skończył, pojawia się dziwna postać. Cyganka śniada, z błyszczącym okiem i ogorzałą cerą, odziana w czerwony płaszcz, występuje nagle z po za odłamów muru. Wszyscy garną się do niej, każdy żąda aby wywróżyła mu przyszłość. Kobieta ujmuje rękę Marceliny, przepowiada iż wkrótce zostanie zakonnicą. Gdy przyszła kolej na Ewunię, wróży jej że będzie miała dwóch mężów. Łatwo zrozumieć wstyd i zakłopotanie panienki!

Zabrano się do powrotu; Adam jechał razem z paniami. Wkrótce jednak wysiadł znęcony widokiem prześlicznych myrtów, rosnących koło drogi. Tymczasem ktoś inny zajął miejsce jego

w powozie. Piękny dzień zakończył się smutno dla Adama, kto wie, może i dla Ewuni!

Lepiej powiodła się druga wycieczka do Albano. Tu już żadna Cyganka nie zmaciła niewczesną wróżbą czaru chwili obecnej. W Frascati zostawiono powozy, dalsza droga dostępna tylko dla mulów i osiołków.

Prześliczny to był poranek. Na niebie tak różowo, tak przezroczysto, na ziemi tak zielono i świeżo. Grube krople rosy świeciły jak dyamenty na listkach wawrzynu i myrtu. W Rzymie deszcz rzadkiem bywa zjawiskiem; bogactwo roślinności utrzymuje tu tylko obfita rosa. Głęboka cisza panowała na szerokiej przestrzeni. Koniki polne pobrzękiwały w trawie. Do pełnego uroku brakowało tylko świergotania słowików, na co Adam bardzo się zalił.

Przybyli wreszcie do Albano. Tu hrabia S. wdał się ze Strzeleckim w uczoną rozprawę o Tacycie i Liwiuszu. Reszta towarzystwa odpoczywała na wyżynie w pośród zwalisk, ogarniając okiem to Rzym rysujący się malowniczo w oddaleniu, to gruzy starożytniej Alby Eneaszowej, sterczące tuż przed okiem u stóp wzgórza.

Pan Edward chciał zapisać jakiś szczegół. Ewunia podała mu małą książeczkę do notatek, która nigdy nie odstępowała jej w wycieczkach. I otóż śrubka odczepiła się od ołówka. Próżno pan Edward szuka jej tu i owdzie. Siada wreszcie, kreśli na kartce żartobliwy wierszyk:

Śrubkę zgubiłem
Ach ja nieszczęśny!
Cóż ja zrobiłem i t. d.

Adam który był przy nim, spogląda na słowa nakreślone; wydiera mu książeczkę z ręki.

— Godziź się — zawoła — pisać takie rzeczy, na takiej kartce?

Oddał się, zasiadł na ruinach, po chwili złożył książeczkę w ręce Ewuni. Rzuciła na nią okiem; spłoniona odczytała te słowa:

Gdybym się zmienił w wstęgę złocistą
Co na twém czole połyska;
Gdybym się zmienił w tę szatę mglistą
Co piersi twoje przyciska:

Drzeniabym serca twojego badał
Czy nie odpowie mojemu,
Z twojem się łonem wznosił i spadał
Posłuszny technieniu twojemu.

Gdybym się zmienił w wietrzyk skrzydlaty
Co dysze w pogodnym niebie,

W drodzebym mijał najświeższe kwiaty,
A pieścił różę i ciebie.

Może nakoniec Bóg litościwy
Pracęby moją ocenił,
Może nakoniec byłbym szczęśliwy
I w twe się serce zamienił.

Ewunia odczytała to drżące jak listek, serce jęj uderzyło, niewysłowiona jakaś trwoga opanowała ją całą. To co brała dotąd za prostą grzeczność ze strony poety, byłoby rzeczywistym uczuciem? pytała sama siebie. I zasłona spadła z jęj oczu: odgadła całą prawdę. Mimo trwogi czuła się szczęśliwą, szczęśliwszą niż kiedykolwiek w życiu!

Wracając obrano inną drogę, pysznym lasem dębowym la Ricia, potem urwistym brzegiem pięknego jeziora Gandolfo: przez całą drogę Adam szedł przy mule Ewuni.

Ojciec zajęty pomnikami staręj Alby i rozprawą o Liwiuszu, nie spostrzegł żywszego w tym dniu rumieńca na lieu jedynaczki. Matka milczała. Marcellina tylko jako starsza o lat kilka, za powrotem do domu jęła ostrzegać Ewunię aby się miała na baczności.

— Pamiętaj—mówiła—ojciec nigdy nie pozwoli na te związki!

Ewunia czuła to sama, a jednak opanowana dziwnym, nieznanym dotąd czarem, miałaż siłę wyłamać się z pod jego wpływu.

Przejazdki te tak mile, następowały w ślad po sobie. Dnia jednego towarzystwo całe udało się powozami do Tivoli, dalej na mulach puściło się brzegiem rzeki Anio. Nic piękniejszego nad tę drogę. Po jednej stronie, na przestrzeni dwóch mil biją z gór małeńkie potoczki, sławne *kaskatelle*, w cieniu rozkwitłych laurów i pomarańcz, z drugiej strony ciągnie się gęsty las oliwny. Wiele z tych drzew, dziś wypróchniałych, a jednak zwieńczonych w górze zieloną, rozłożystą koroną, ocieniało wille Horacego, Katulla, Mecenasa. Adam stąpał przy mule Ewuni, zasłaniając ją od stromych brzegów. Piękność miejsca, bogactwo przywiązanych doń pamiątek, a do tego obecność miłej Ewuni, wszystko to głęboko utkwilo w wyobraźni naszego wieszca. Nie improwizował wcale w tym dniu, później za to napisał słiczny wiersz jęj poświęcony, malujący wiernie miejscowość.

Znasz-li ten kraj
Gdzie cytryna dojrzewa?
Pomarańcz blask
Majowe złoci drzewa?
Gdzie wieńcem bluszcza
Ruiny dawne stroi,

Gdzie buja laur
I cyprys cicho stoi,
Znasz-li ten kraj, ach tam, o moja miła,
Tam był mi raj, pókiś ty ze mną była!

Te wycieczki tak były przyjemne dla całego towarzystwa, że przedsięwzięto dalszą ku Abruzzom. Była to raczej pobożna pielgrzymka. Hrabina pragnęła od dawna, odwiedzić klasztor Augustyanów w Genezzano, gdzie jest obraz Matki Bożkiej słynący od wieków cudami. Genezzano leży w górach, w miejscu gdzie południowe Apeniny przybierają nazwę Abruzzów. Trzema jak zwykle powozami, nasi turyści udali się naprzód do Palestryny, odwiecznej stolicy Etrusków, zwaną w starożytności Preneste. Tu podziwiali sławne mury Cyklopów, złożone z olbrzymich płyt granitowych, steroczących jak orle gniazda nad urwiskami.

W Palestrynie wypadał nocleg. Pomieszczenie znalazło się wygodne, inaczej rzecz się miała z wieczszą; trzeba było poprzestać na suchych figach i sałacie. Nie zmąciło to jednak powszechną wesołości. Nazajutrz o piątą z rana, w cudny poranek kwietniowy, puszczono się na mułach do Genezzano.

Pielgrzymi nasi przybyli w samą porę, udali się wszyscy do kościoła. Adam gorąco się modlił; uważała Ewunia że przekłęczał całą mszę przed cudownym obrazem. Po nabożeństwie szepnął jej, że uczynił pobożne wotum: jeśli prośba jego zostanie wysłuchana, wzniesie złocisty ołtarz dla Najświętszej Panny. Nie tłumaczył się jaśniej, Ewunia przecież odgadła o co się mōdlił tak zarliwie.

Księża Augustyanie zaprosili gości do refektarza. Ksiądz kanafarz wniósł na tacy tyle szklanek ile było osób obecnych. W każdej był cukier miazgi i parę zółtek. Prosił wszystkich aby rozbili owe zółtka.

— Cóżto? mają nas tu za suchotników?—rzekł Adam z uśmiechem—skoro nam dają *Hogiel Mogiel!*

Wyjaśniła się zagadka, gdy kanafarz przyniósł ogromny dzban gorącej kawy, i wlewał ją do szklanek, zalecając rozbijać jeszcze dopóki się wszystko nie zmiesza. Ewunia zapewniała nas że nigdy w życiu nie piła lepszej kawy. I później nawet piła ją często w ten sposób.

Po śniadaniu goście zabrali się do powrotu. Ojcowie opatrzyli ich obrazkami. Adam zaszył swój obrazek w szkaplerz i nosił go jak mówił na piersi. W tym dniu bardzo był poważny i zamyślony.

W Palestrynie turyści opuścili muły a wsiedli do powozów. Hrabia S. jechał ze Strzeleckim. Prowadził z nim uczoną rozprawę o starożytnościach etruskich. Adam zajął miejsce w powozie pań. Przez drogę ożywił się i rozweselił. Grał z hrabiną w szubieniczkę, potem w cetno i lichy; za każdą przegraną improwizował po cztery lub ośm wierszy.

Po tej dalekiej wycieczce, nastąpiła inna jeszcze dalsza do starożytnego opactwa Benedyktynów w Subiaco leżącego w Abruzach. Piękna to była droga brzegiem rzeki Anio. Z żadnej może przejażdżki Ewunia nie zachowała tylu wspomnień. Osiólek jej przeląkł się szumu kół młyńskich w Vicovaro. Adam przyskoczył, pochwycił go za cugle, i przez całą drogę szedł ciągle przy jej boku.

Upał mocno dokuczał.

— Siądź pan na muła swego, — nalegała Ewunia, widząc jak bardzo był znużony. — Lepiej się pan przypatrzysz okolicy: kaskady takie piękne.

— Co mi tam kaskady — odparł — ja wolę patrzeć w błękitne oczy pani.

— Nie mów pan tego — odrzekła figlarnie — a któż to nie dawno napisał: „Kobietę, puchu marny!”

— Kto pani to dał czytać? — zawołał żywo. — Za młoda jesteś na to!.. te rzeczy nie dla ciebie!

Dziwnie urocza droga wila się w pośród kwitnących laurów, między którymi odbijały ciemne cyprysy. Adam prawdziwie był oczarowany. Nad wszystkie drzewa i krzewy przekładał on wtedy cyprys. Ilekroć zobaczył piękną gałązkę, łamał ją i dawał Ewunii; zebrała ona w ciągu tych wycieczek nie małą kolekcję cyprysów.

— Po co te żałobne wieńce — rzekła raz matka — brakże to innych kwiatów i liści?

— Są uczucia, które muszą być zawsze kirem powleczone, — odrzekł poeta smutno.

Na widok cyprysów, powtarzał z upodobaniem wiersz Alexandra Chodźki; przełożony z perskiego: zaczynał się od tych słów:

Cyprys różą swą dumny,
W maju nawet ponury,
Smętnie wznosi do góry,
Wzrost grobowej kolumny!

W myśli Adama, on był cyprysem, Ewunia, była różą.

Późno wieczorem, turyści nasi stanęli w Subiaco. Tego dnia jeszcze po księżycu zwiedzili ruiny małego klasztoru, gdzie mieszkała niegdyś święta Scholastyka. Oglądali grób Benedyktynki Afry, o której krążą w kraju poetyczne podania. Strzelecki zapowiedział, że z tych podań ułoży powieść, w której i Adam i Ewunia mają odegrać ważną rolę. Skończyło się na planie: powieść nigdy nie była ułożoną.

Wieczera w tym dniu jeśli nie weselsza, za to obfitsza była niż w poprzedniej przejażdżce; zabrano bowiem różne zapasy z Rzymu. Nazajutrz podróżni zwiedzili sławne opactwo, pełne starożytnych pomników, obejrzelili freski najdawniejszej szkoły

włoskiej, po czém zapuścili się na mufach w głąb Abruzzów. Wycieczka przeciągnęła się trzy dni.

Ewunia spostrzegła w ojcu wyraźne ślady nieukontentowania. Zapowiedział stanowczo, że na więcej przejażdżek nie pozwoli; panienki bowiem opalają się na skwarze kwietniowym. Spostrzegł hrabia grożące niebezpieczeństwo, umyślił mu zapobiedz.

Serce Ewuni ścisnęło się boleśnie. Smutne przecucia krążyły w jej myśli. Za powrotem zatrzymali się wszyscy w Tivoli; przebiegali zwałiska Villi Adryana, zwanęj *małą Grecyą*. Wśród powalonych kolumn rośły tu jeszcze przepyszne akanty i inne rośliny egzotyczne, sprowadzone niegdyś z Aten do cesarskiego ogrodu. Kiedy zwiezione tu pomniki cywilizacji greckiej, zasłały szeroką przestrzeń, tak zwanemi *ruinami ruin*, ośmnaście wieków nie zniszczyło w tej bujnej ziemi, świeżych akantów greckich. Bujnie też tu rosła zamorska cykuta z żółtym kwiatem. Z powodu jej wszczęła się uczona rozprawa o Sokratesie.

Widok jadowitego ziela, przykro oddziałał na wrażliwy umysł Ewuni. Przykrzej jeszcze uderzoną była, gdy zajrzawszy do jakiegoś grotu, spostrzegła ogromną zmię białą w centki czarne, podniesioną w górę na kilka stóp, z świeżącemi oczyma i ostrym jak szydło językiem. Adam oderwał ją gwałtem z tego miejsca, lecz obraz owęj zmił ściągał ją bez ustanku. Dzień ten smutno się odbił w jej pamięci. Gład przecucia wcisnął się do Edenu, stworzonego młoda jej wyobraźnią.

Jak hrabia zapowiedział, była to ostatnia dalsza wycieczka w tym roku. Nie wzbraniał jednak przechadzek po Rzymie, powtarzających się prawie codziennie. Ewunia jak mówiliśmy, знаła wyborne starożytności rzymskie; ona to tłumaczyła je Adamowi. Hrabina z upodobaniem przewodniczyła tym przechadzkom. Zwiedzali razem zwałiska pałacu Cezarów, pokryte festonami bluszczu i róż pnących. Adam przezwiał je *willą Ewuni*. Obok nich upatrzył sobie przesliczną willę Niels, pokrytą niemniej uplotami róż: tę nazwał *willą Adama*.

Razem też przebiegali cytadelę świętego Anioła pełną średniowiecznych pamiątek. Podanie o świętej w tym miejscu Beatrycie Cinci, szczególnież uderzyło wyobraźnię poety. Zdawało się, że je weźmie za przedmiot do nowego utworu. Myśl ta spełzała na niczém. W ostatnich dniach przed rozłączeniem, zwiedzali galerie Watykanu przy pochodniach. Na to trzeba osobnego pozwolenia, które nie łatwo się otrzymuje. Nie piękniejszego, jak te posagi dłuta pierwszorzędných mistrzów, oświecone różowym światłem: zdaje się jakby krew płynęła w marmurze. Adam szedł przy Ewuni. Słuchał pilnie jak mu opowiadała historię i znaczenie tych arcydzieł. Czoło jego promieniało natchnieniem, na widok owych cudów geniuszu ludzkiego. W tenże sam sposób przy księżycu i pochodniach, zwiedzili Kolosseum. Ewunia czuła

się szczęśliwą; hrabina niemniej była zadowolona: zasepiouy wzrok hrabiego psuł tylko ogólną harmonię.

Po owych to wycieczkach, Adam napisał wiersz: *Do mego Cicerona w Rzymie.*

Mój Cicerone, oto na pomniku
Jakieś niekształtne, nieznajome imię,
Wędrownik skreślił na znak że był w Rzymie,
Ja chcę coś wiedzieć o tym wędrowniku.

Może go wkrótce przyjmie do gospody
Kłótliva fala, może piasek niemy
Zatai jego życie i przygody,
I nigdy o nim nie się nie dowiemy.

Ja chcę odgadnąć co on czuł i myślił,
Gdy w księdze twojej wśród włoskiej krainy,
Za cały napis to imię wykreślił,
Na drodze życia ten swój ślad jedyny.

Czy drżącą ręką po długim dumaniu,
Rył go powoli jak nagrobek w skale,
Czy go odchodząc uronił niedbale,
Jako samotną łzę przy pożegnaniu.

Mój Ciceronie! dziecinne masz lice,
Lecz mądrość stara nad twym świeci czołem;
Przez rzymskie bramy, groby i świątnice,
Tyś przewodniczym był dla mnie aniołem.

Ty umiesz przejrzeć nawet serca z głazu
Gdy błękitnemi raz rzucisz oczyma,
Odgadnąć przeszłość z jednego wyrazu,
Ach! ty wiesz może i przyszłość pielgrzyma!

Temu ślicznemu wierszowi, nie ustępuje inny nakreślony przy pożegnaniu ręką pana Edwarda w témże album:

Wy co mnie wiodąc po Rzymu pamiątkach
Polki uroczę jak Polski wspomnienia,
O sławie rzymskiej, i o rzymskich szczątkach
Jak z ksiąg Sybilli uczyły z kamienia.

Znacie wy róże rozkwitłe wieńcami,
Na Cezarskiego dawniej gmachu szczątkach;
Jako te róże, chwile com żył z wami,
Kwitnąć mi będą na Rzymu pamiątkach!

Dziecinne masz lice, pisze Adam, lecz stara mądrość świeci na twém czole! W tych słowach mamy obraz Ewuni. Patrząc na nią dziś jeszcze, łatwo nam odgadnąć jaką była. Drobną, powiewną, delikatną, z białą jak lilia cerą, z włosami ciemno popielatym, z błękitnymi oczyma, z myślą wypiętnowaną na czole, miała w sobie ten właśnie idealny urok, który mógł przyciągnąć wyobraźnię i serce poety. Adam znajdował w niej podobieństwo do Drezdeńskiej Magdaleny Corregia. Kupił też rycinę z owego obrazu, miał ją u siebie, patrzył na nią z upodobaniem.

Ten szczególny urok jaki Ewunia na nim wywierała, skreślił Adam, w opowieści Jacka Soplicy, gdy w oburzeniu na Horeszkę, nieraz ścisnął pięścią głownię karabeli:

Ale Ewa zważając mój wzrok i mą postać
Zgadywała nie wiem jak, co się we mnie działo,
Patrzyła błagająca, lice jej bledniało;
A był to taki piękny gołąbek łagodny,
I wzrok miała uprzejmy taki! tak pogodny,
Taki anielski, że już nie wiem, już nie miałem
Odwagi zagniewać jej, zatrwożyć, milczałem.
I ja zawadyaka sławny,
Co przedemną największe pany niegdyś drżały,
Co we wściekłość najmniejsza wprowadzała mnie sprzeczka,
Ja wtenczas zły i pijany, mileżał jak owieczka,
Jak gdybym *Sanctissimum* ujrzał!..

I dalej maluje znów jej obraz:

Ach! gdyby ona była jak nasze szlachciance
Silna i zdrowa, gdyby ucieczki, pogoni
Nie zlekła się, i mogła słuchać szczeku broni;
Lecz ona biedna! tak ją rodzice pieścili.
Słaba, lękliwa—był to robaczek motyli,
Wiosenna gąsiennica!

Taką była Ewunia, taką ukochał ją Adam, a ukochał gorąco. W ostatnich dniach pobytu w Rzymie, zachorował nawet dość mocno, w skutek zapewne wewnętrznej walki. Ewunia wiedziała o chorobie; serce jej odgadywało powód. Wiedziała także, iż pan Edward niespokojny o przyjaciela, miał otwartą rozmowę z matką. Biedna matka, pragnęła szczęścia córki; inaczej zapewne pojmowała to szczęście niż je pojmował dumny ojciec, ale działać nie było w jej mocy.

Hrabina powierzyła wszystko Bogu, sama zaś starała się jak mogła osłodzić Adamowi przykrości jakie znosił od męża. Dnia jednego, przegrawszy jakiś zakład, posłała mu piękny portfel na papiery, panu Edwardowi zaś paczkę cukierków. Ewunia chowa

odpowiedź dwóch przyjaciół. Pan Edward podziękowawszy za cukierki dodaje: „odpowiadam na pytanie panny H., iż w chwili odebrania listu, Mickiewicz nie miał przy sobie koloru nadziei.”

Ściąga się to do gry w zielone, w którą Ewunia bezustannie grywała z Adamem.

W tym liście czytamy dopisek, skreślony ręką Mickiewicza: „Dziękuję nieskończenie memu szczęściu i pani hrabinie za piękny portfel. Pannie H. mam honor pokornie oświadczyć, że u nas, nie godzi się grać z damami w żadną grę przez posłły.. Ilekroć zechce przekonać się o mojej pamięci, niech mi raczy rozkazać, abym stawiał się osobiście, a przysięgam na wszystko co zielone od myrtu aż do pokrzywy, że o każdej z dwudziestu czterech godzin znajdzie u mnie kolor nadziei. Edwardowi wierzyć nie można; ucukrował świeżo usta z łaski pani, jest więc świadkiem przekupionym. Mam nadzieję, że dziś u państwa wszyscy zdrowi i jednostajnie na nas łaskawi.

Najniższy i najzieleniwszy sługa

Mickiewicz.”

Hrabia zapowiedział stanowczo dzień odjazdu na pierwszego maja. Ewunia płakała po nocach. Adam posłyszał o tem, posłyszał zapewno od matki. Nie przepominał tych łez w wielkim poemacie pisanym wyraźnie pod natchnieniem Ewuni:

Nie mogła nie przemówić, aż jej się rzuciły
Strumieniem łzy: poznałem jak byłem jej miły.
Pomnę pierwszy raz w życiu jam się łzami zalał,
Z radości i z rozpacz, zapominał się, szalał;
Już chciałem znów upaść o jej pod nogi,
Więć się jak wąż u kolan, wołać: ojcze drogi!
Weź za syna lub zabij!.. Wtém stolnik posepny,
Zimny jako słup soli, grzeczny, obojętny,
Wszczął dyskurs o czém? o czém? o córki weselu!

Tak bywało nieraz w rzeczy samej. Hrabia powtarzał często: muszę wracać do kraju, czas wydać za żonę córkę!

Słowa te raniły jakby sztyletem serce biednej Ewuni: Adam cały drżał z gniewu.

„Czuł on ile jest piekła w obrażonej dumie!”

Drażliwość hrabiego powiększył jeszcze list odebrany z Galicyi. „Rozchodzi się wieść, pisał jeden z sąsiadów, że wydajesz córkę za sławnego wieszczę polskiego.”

Hrabia rzucił list z gniewem.

— A widzisz—zagadnął żonę z okiem iskrzącem od oburzenia—czy nie mówiłem do czego to wszystko doprowadzi?

Hrabina zbłądła; położenie jej nadzwyczaj było trudne. Starała się złagodzić niepokój męża, ufając że cierpliwością i słodyczą złamie w końcu wszelkie zapory.

Ostatnie dni przed wyjazdem przykre były dla Adama, i nie mniej przykre dla Ewuni. Zdarzało się najczęściej, że hrabia wchodził do salonu, gdy goście zebrani już byli wieczorem. Witając wszystkich z prawdziwą uprzejmością, p. Edwarda z serdecznym współczuciem, bardzo go bowiem lubił, — Adamowi tylko nigdy nie podał ręki.

Biędna Ewunia wśród tych łez i tego niepokoju, miała jednak przed odjazdem, jedną jeszcze z tych chwil słonecznych, których pamięć świeci sercu na długie lata. Dnia jednego siadała z rodzicami do stołu, kiedy nagle wpadł Adam.

— Jedźmy! jedźmy co prędzej! — wołał w uniesieniu, — nie mamy chwili do stracenia. W willi Doria Pamphili odkryto starożytne *Columbaria*. Potrzeba je zobaczyć, zaczęli drudzy posyłać o nich. Strzelecki lub inni, gotowi się dowiedzieć!.. Upprzedźmy ich, a naśmiejemy się z panów archeologów.

Więść o *Columbariach* zaciekała żywo hrabiego. Posłał zaraz po pojazd. W mgnieniu oka znaleźli się wszyscy przed bramą starożytną willi. Nie małe było ich zdziwienie, gdy spostrzegli tam pana Edwarda, Strzeleckiego i całe grono znajomych.

— Gdzież te *Columbaria*—pyta hrabia z ukrytym gniewem domysłając się jakiejś mistyfikacji.

— W willi—odpowiadają wszyscy chórem.

W willi nie było *Columbariów*, ale było zastawione śniadanie, w sali przystrojonej kwiatami. Należało użyć podstępów, inaczej hrabia nie byłby przyjął zaprosin; ziomkowie zaś przebywający w Rzymie, chcieli tym sposobem wywdziżyć się hrabiemu za miłe chwile spędzone w gościnnych jego progach.

Willą ta założona niegdyś przez Innocentego X z domu Pamphilich, jest dziś własnością książąt Doria. Gospodarze uczty wyjednali sobie na ten dzień wolny przystęp do tego uroczego przybytku sztuki. Po śniadaniu, całe towarzystwo rozbiegło się po przeszlicznym ogrodzie. Puszczone wodotryski. W pośród nich, Trausteveranki w stroju rzymskim tańczyły *Saltarelle*. Adam z Ewunią zrywali anemony nad jeziorem: on uwił dla niej wieniec, ona dała mu wiązkę z róż i laurów.

— Jedne za późno, drugie za wcześnie—rzekł poeta.

Kilka godzin ubiegło jakby sen czarodziejski. Wszyscy goście hrabiego czuli się weseli i szczęśliwi. Adam improwizował pod wpływem prawdziwego natchnienia.

— Był to dzień najpiękniejszy w moim życiu!—mówiła do nas Ewunia. Jak będę umierać jeszcze go nie zapomnę!

Ale i ten dzień tak uroczy, miał się zakończyć w smutny sposób. Mrok zapadł, księżyc ukazał się na niebie. Ojciec nalegał do powrotu. Wtém nadbiegł posłaniec z listem do Adama, donoszono że książd Parczewski przyjaściel jego, słaby od niejakiego czasu, zachorował gwałtownie, że krwę wyrzuca ustami. Hrabia i Adam pośpieszyli czempredzej do chorego. Wszystkim

serca ścisnęły się żałośnie, młody bowiem kapłan powszechnie był kochany.

Chory umarł w trzy dni potem. Śmierć ta opóźniła cokolwiek wyjazd rodziny S.. Zatrzymano się dla pogrzebu. Pochowano zmarłego w sklepieniach kościoła San Stanislao dei Polachi; widać tam dotąd kamień z napisem: *Książd Parczewski uczeń teologii. Przyjaciele, ziomkowie, pochowali go 3-go Maja 1830 roku.* Napis ułożył Adam.

Nazajutrz potem hrabia z rodziną opuścił Rzym: wybrał się z powrotem do kraju. Wszyscy znajomi odprowadzili podróżnych o parę mil do Horta. Strzelecki z młodym księciem, towarzyszyli im do saméj Florencyi. Adam jechał z paniami w jednym powozie. Wówczas dał Ewuni na pamiątkę poezye swoje w dwóch tomach, wydane w Petersburgu. Na okładce wypisał jéj imię i nazwisko, dalej: *W dzień odjazdu z Rzymu. Adam Mickiewicz.* Na pierwszej kartce skreślił te słowa: *W bramie del popolo. Wyjeżdżamy z Rzymu, nie będziemy płakać ani w dzień, ani w nocy, będziemy w dobrém zdrowiu. Do widzenia!*

Na drugim tomiku, w którym są Dziady, napisał wielkimi literami: *Nie wolno czytać!* W Dziadach mnóstwo ustępów poprzedzał ółówkiem nakrzyż.

Co znaczyły te krzyże, pokreślone w najrzewniejszych ustępach, wywołanych inném wspomnieniem! To samo zapewne znaczyły, co te słowa poety:

Pamiątki nawet serce głęboko zagrzebie,
Aby nigdy nie nie czuć z daleka od ciebie.

Hrabiemu nie podobał się wcale ten npominek; raziło go to szczególnie, że przed imieniem, nie było położono: *pannie*.

— Z kąd taka poufałość?—powtarzał zaszępiony.

Smutna była chwila rozstania, tak dla Adama jak dla Ewuni. Wszystko zdawało się zapowiadać, że więcej się już nie zobaczą. Ewunia wracała do Krakowa; Adam spieszył do Neapolu i Sycylii. Za kilka dni miał i on opuścić Rzym z przyjaciелеm!

Pożegnali się w Starta. W powozie pań zajął miejsce Adama Strzelecki, szczery jego przyjaciel; rozmowa toczyła się ciągle o nieobecny. Ewunia umiała na pamięć wszystkie jego poezye oprócz sonetów; w podróży przyszła na nie kolej. Powtarzając jego słowa, mniemała że rozmawia z nim jeszcze.

Po drodze zatrzymali się w Terni; zwiedzili tam pyszny wodospad *de la Marmora*, najpiękniejszy z wodospadów włoskich. Dwie wielkie rzeki Vellino i Nera, rzucając się tu razem z ogromnej wysokości, i stąd rozbiegają się na dwie strony. Na brzegach kwitły róże. Słowiki nieznane w okolicach Rzymu, śpiewały chórem wśród cyprysów. Ewunia opisała to uroczne miejsce i doznane w niém wrażenia. Hrabina posłała Adamowi ten obrazek; odebrał go w Neapolu, odczytał z radością, odpisał

z uniesieniem: „Chyba Duch Święty natchnął ją, że tak pięknie po polsku napisała.”

Przybyli do Florencyi. Tu doszła ich wiadomość, o śmierci ojca hrabinęj. Wpłynęło to na zmianę projektów. Hrabia chcąc rozerwać stroskaną żonę, wywiózł ją na kilka miesięcy do Paryża. Zimę postanowili spędzić w Rzymie.

Adam uwiadomiony listem hrabiny o nowych zamiarach, odpisał jej do Paryża *poste restante*. Hrabina sama odebrała list na pocztę, dała go córce do czytania. W nim był cudnie piękny wiersz, napisany w Neapolu, którego początek odnoszący się do wspomnień z Tivoli, przytoczyliśmy wyżej. Ostatnie słowa mało-wały tęsknotę poety, mimo cudów przyrody jakie go otaczały.

Znasz-li ten kraj,
Gdzie po skalistych górach,
Strudzony muł
Swój drogi szuka w chmurach?
Gdzie w głębi jam
Płomieniem wrą opoki,
A z wierzchu skał
W kaskadach grzmia potoki,

Znasz-li ten kraj? ach tu, o moja miła
Tu byłby raj, gdybyś ty ze mną była!

Jeżeli Adam u stóp Wezuwiusza, marzył o chwilach spędzonych w Tivoli, mamy wszelkie powody do domysłów, że i Ewunia w obec przepychu paryżkiego, w pośród zgiełku i wrzawy ówczesnej stolicy świata, zwracała z tęsknotą myśl ku cichęj, a tak wymownej milczeniu kampanii rzymskiej.

Paryż jak mówi weale jej nie zachwyił. Odwracała z niechęcią głowę od złota i dyamentów, połyskujących w galeryach *Palais Royal*. Muzea Luwru wydały jej się ubogie, w porównaniu z watykańskimi. Gwar bulwarów ogłuszał ją, kościoły paryżkie puste były dla niej i chłodne.

Państwo S. przebywali w Paryżu, kiedy wybuchnęła tam rewolucya lipcowa. Adam dowiedziawszy się przez gazety o tém co zaszło, rozpiisał listy do wszystkich znajomych jakich tam miał, zapytując o hrabiego i rodzinę. Z listu hrabiny dowiedział się wreszcie, że obróć drogę na Szwajcaryą, że resztę lata i część jesieni mają zamiar przepędzić w Genewie.

Jakoż przybyli tam w połowie sierpnia. Od roku bawił w Genewie młody jeszcze bardzo Zygmunt K. przyszły autor Irydyona. Miał on liczne stosunki w świecie uczonym: znał dobrze Sismondego, autora Historji Włoch, Boanstettena autora Studiów nad Latium. Ten ostatni przeczuwał w młodzieńcu niepospolity geniusz, wówczas już nazwał go młodem orleciem, wróżąc świetną przyszłość z pierwszych polotów. Zygmunt drukował wtedy w Bibliotece Genewskiej (1830) pogląd na literaturę

polską; genialne spostrzeżenia zwróciły uwagę powszechną, i wywołały chlubny sąd Boanstetena.

Młody autor wprowadził do domu hrabiego, zaakomitych przyjaciół swoich. Zebrania literackie urządziły się niebawem w gościnnych progach światłego magnata polskiego.

Wkrótce te zebrania ożywiły się bardziej jeszcze. Czwartego września przybył Adam z panem Edwardem. Serce Ewuni uderżyło mocno, gdy go ujrzała wchodzącego do salonu. Ojciec skrzywił się, cień przemknął po jego czole, a jednak z udaną uprzejmością przyjął go w domu własnym. Sprzeczne uczucia targwały nim bez ustanku. Z jednej strony duma polska nakazywała mu uczyć pierwszorzędnego geniusz narodowy, z drugiej strony, duma magnata zrywała się na myśl samą związków jedynaczki, z prostym szlachcicem zaściankowym.

Wielki poeta rozumiał tę walkę, i odmalował ją wybornie w sprzecznych uczuciach jakie miotają sercem Horeszki. Dumny Stolnik, nie śmiał zadzierać z tym, o którym:

Śpiewały szlachecianki:

Oto Jacek was kręci, trzęsą się zaścianki,
A komu na swym wasie węzełek zawiąże,
Ten zdradzi, choćby to był sam Radziwił książę.

Minęły czasy sejmików: walka toczyła się w obszerniejszych szrankach! Któżby przebaczył zniewagę wyrządzoną Mickiewiczowi?

W ciągu dwumiesięcznego pobytu w Genewie, Adam był codziennym gościem w domu hrabiego. Przywiózł on Ewuni innostwo drobnych pamiątek zebranych po drodze; miał to być zawizek przyszłego muzeum. Między innemi były dwa gwoździe z Pompei, malenki Wezuwiusz w miniaturze, odlany z metalu, i ów odlamek kryształu skalnego z Mont Blanc, o którym wspominaliśmy powyżej.

Ewunia spostrzegła wielką zmianę w jego powierzchowności. Dotąd zaniedbany cokolwiek w ubraniu, teraz nadzwyczaj był staranny, prawie wytworny. W Genewie, kraju zegarmistrzów, kupił piękny zegarek; kazał na nim wyryć herb Poraj, ozdobiony mitrą książęcą. (Mickiewiczze mają mitrę w swym herbie).

Oglądali wszyscy ten zegarek, oglądał go i hrabia. Może być że Adam chciał tym sposobem przypomnieć, że Poraj ma prawo stanąć w parze z Habdankiem.

Byłże to czarodziejski wpływ tej mitry? nie wiemy! to jednak pewne, że kilka miesięcy przepędzone w Genewie zeszyły nadzwyczaj miło. Wieczorami bawiono się w gry pisane, tym sposobem łatwo było zamienić nie jedną myśl, któraby inaczej nie wybiegła może przez usta. W pogodne dni jesienne rozpoczęły się wycieczki statkiem po jeziorze. Zwiedzono razem Ve-

vay, Lauzanne, willę Diodatti Bayrona, Coppet pani de Stael, zamek Ferney Woltera.

Umysłowe zajęcia przeplatały zabawy. Ewunia więcej niż kiedykolwiek zdrowa i rozbudzona, przełożyła Farysa na włoski język. Adam pochwalił pracę, sam przełożył dla niej sonet Petrarki.

Zachęcona próbą przetłumaczyła śliczną poezję p. Edwarda o Alpach. Podziękował jej za to pięknym wierszem o alpejskim pasterzu. Żalujemy bardzo że go tu nie mamy pod ręką.

Prosiła potem p. Edwarda, aby dla niej przetłumaczył sonet o śmierci starego włoskiego poety Felicio Felicaja.

Odpowiedział piosenką, oto jej pierwsza zwrotka:

Nie, smutnych pieśni, nie chcę ci powtarzać.
Zkąd ci gust do nich? w samym lat rozkwicie,
Anioł dobroci, i ty już na życie
Tak drogie innym zechcesz się uskarżać!

Nie pamiętamy dalej, wiemy tylko że jest tam słówko tchnące otuchą:

„Rzecz pożądana przychodzi powoli.”

Ewunia zachowała do dziś dnia wdzięczność za onę wróżbę przyjacielską, na nią to długo budowała nadzieję, która spełnić się niestety nie miała!

Pamięć tych dwóch miesięcy spędzonych w Genewie a następnie na pograniczu Sabaudyi nad rzeką Arwą, w miejscu dziwnie uroczem, odbiło się w myśli Ewuni, jak wspomnienie straconego raju. Z każdym dniem uczucie Adama objawiało się co raz to silniej, a jak się domyślamy i serce Ewuni, coraz silniej też kołatało. Widział to ojciec, i coraz grubszy cień przemykał po jego dumnym czole. Mitra jakoś straciła powoli swój urok, przeważały ją widać inne względy.

Z końcem października rodzina S. opuściła Genewę. Droga do Rzymu wypadła na Medyolan: trudno było nie zatrzymać się kilka dni, w starożytnym grodzie Longobardzkim. Przybył tam i Adam, sam jeden; pan Edward pojechał do Paryża. Na wiadomość że Adam jest w Medyolanie wybuchnął długo tłumiony gniew hrabiego. Wyrzucił gorzko hrabinie, że zbyt niemiłym pobożaniem naraża córkę na niebezpieczeństwo. Żądał aby wyraźnie oświadczyła poecie iż zabiegi jego bezskuteczne.

Dobra matka oparła się temu stanowczo.

— Powiedz mu sam! to nie wyjdzie z ust moich—zawołała. Godzi się lekceważyć tak potężny geniusz? Pragniemy szczęścia córki, otóż on jeden uszczęśliwić ją może.

— Nigdy!—przerwał hrabia—wolałbym ją widzieć na marach! niechby ją raczej wyniesiono trupem z domu mego.

Serce matki ledwie nie pękło. Zadrzała o życie Ewuni, o to życie tak gorąco wymodlone u Boga, okupione tyłu macierzyńskimi łzami. Słowa zamarły na jej ustach. Gwałtowny atak nerwowy całą był odpowiedzią.

Ewunia słyszała całą rozmowę z przyległego pokoju, oddzielnego cienką ścianą. Łatwo zrozumieć co się działo w jej sercu. Biedna zalewała się łzami.

Zatrwożony chorobą matki, hrabia spowolniał nagle. Wieczorem nawet aby nie pogorszyć jej stanu, przyjął dość uprzejmie Adama. Poeta nadzwyczaj był w tym dniu rozmowny i ożywiony, każde jego słowo nacechowane było piętnem geniuszu. Hrabia pociągnięty potężnym tym wpływem, ulegał mu wbrew własnej woli. Chwilowa pogoda powróciła po burzy. Następných dni zwiedzano razem Medyolan. Tu już Adam służył za Cicerona, znał bowiem stolicę Lombardyi, spędziwszy w niej dni kilka w roku zeszłym przed przybyciem do Rzymu. Oglądali razem pracownię sławnego rzeźbiarza Marchessi, malarza Appiani. Adam przyprowadził do domu hrabiego, kilku znajomych poetów i literatów: Grassi, Sogni i innych. Rozpoczęły się znowu miłe wieczorki literackie. Nie w smak to poszło hrabiemu; postanowił raz skończyć rzeczy. Dnia jednego, nie mówiąc nikomu ani słowa, wywiózł żonę z panienkami do jeziora Como. Nie była to pora na podobne przejażdżki. Październik zbliżał się do końca; wicher dał zimny, mgła jesienna przysłaniała grzbiety Alp. Ewunia patrzała na wszystko obojętnie z sercem dziwnie ściśniętém.

W kilka dni podróży nasi wrócili do Medyolanu. Ewunia drżała, skrzepla od chłodu i znużenia. W parę godzin potem przyszedł Adam. Wieczór zszedł smutno, poeta zrozumiał o co idzie.

Nazajutrz o piątej z rana hrabia zbudził ze snu żonę i paniny. Powóz czekał zaprzężony przed hotelem. Wyjechano do Olegio z odwiedzinami do przebywającej tam rodaczki pani D. Żaden bliższy stosunek nie łączył z sobą dwóch domów. Z Medyolanu do Olegio w Sabandyi, droga dosyć daleka i przykra. Nieznośna to była podróż; po drodze trzeba było zatrzymać się w nudnej Nawarze. Nim państwo S. powrócili z wycieczki, Adam opuścił Medyolan; zostawił tylko list z pożegnaniem do hrabiny. Smutny to list; znać jak serce jego silnie było dotknięte. Donosi że wyjeżdża do Ankony, zkąd puści się w podróż po Wschodzie. „Nie wiem czy się kiedy zobaczymy—dodaje w końcu—niech Bóg strzeże panie we wszystkich potrzebnych i nie potrzebnych podróżach!” Hrabina pokazała list córce; odtąd przez długi czas nikt w domu nie wspominał imienia Adama. Kto nie zgadnie co cierpiało serce Ewuni.

Zdrowie biednej zachwiało się w skutek przebytych wstrząśnień. Przyjechała słaba do Parmy, gdzie potrzeba było zatrzymać się dni kilka. Słabsza jeszcze przybyła do Piacenzy. We

Florencyi położyła się w łóżko; choroba jej przybrała zatrważający charakter.

Po kilku tygodniach, o tyle było lepiej, że stan zdrowia pozwalał wreszcie puścić się w dalszą drogę: hrabina wiedziała iż Adam jest w Rzymie; pisał do niej, jak jadąc przez Loretto do Ankony, spotkał się z Henrykiem Rzewuskim, który z rodziną pospieszał do Rzymu. Rzewuski odwiódł go od podróży wschodniej i gwałtem prawie zabrał go z sobą. Hrabina nikomu o tém nie wspominała, w obawie iżby mąż nie zmienił zamiaru, i nie wywiózł rodziny w inną stronę.

W ostatnich dniach listopada państwo S. przybyli do Rzymu. Zamieszkali jak zwykle przy ulicy Mercede. Ewunia uczuła się jakby odrodzona pod wpływem miłej dla niej atmosfery, w miejscu które jej nasuwało tyle drogich pamiątek. Tegoz dnia po przyjeździe hrabia wyszedł na Monte Pincio. Niezadługo wrócił do domu.

— Spotkałem Mickiewicza—rzekł w obec rodziny—będzie tu dziś wieczór z Henrykiem Rzewuskim i księdzem Chołoniewskim.

Serce Ewuni uderzyło na gwałt. Nie wiedziała sama czy się cieszyć czy trwożyć; ale ojciec wyrzekł te słowa spokojnie: nadzieja wstąpiła do jej duszy.

Przyszli zapowiedzeni goście, przyszedł i Adam, ale jakiś nie swój i zadumany. Zamienił z Ewunią ledwie kilka słów; załżył się bardzo na rozłączenie z panem Edwardem, który zmuszony był wyjechać do Paryża.

Przez całą zimę tęsknił on bardzo za towarzyszem; mówił o nim codziennie z uczuciem najgorętszej przyjaźni.

Towarzystwo polskie w Rzymie liczne było w tym roku. Duszą jego był Henryk Rzewuski, dawny przyjaciel hrabiego, sercem oddany Adamowi, z którym niegdyś podróżował po Krymie. Zmiarkował on od razu cały stan rzeczy; wiedział że z takim człowiekiem jak hrabia, potrzeba iść z wolna do celu, radził też cierpliwość i o ile mógł, ożywiał nadzieję w sercu biednej Ewuni.

Przebywał też w tym roku w Rzymie, młody, ledwie osiemnastoletni Zygmunt. Nie pospolita była to już wtedy osobistość. Zwykle poważny i zadumany, ożywiał się jednak czasami, w sympatycznym dla niego kole. Wówczas słowa wybiegały z ust palące jak lawa, oczy jego rzucały błyskawice. Hrabina S. którą kochał jak matkę, miała szczególny dar wyciągania go na słowo. Czytywał on niekiedy własne utwory, nie przyznając się przecież do nich, i sam ostro je krytykował. Adam przeciwnie: jeżeli czytał, to innych poetów; własnych poezyi czytać nie lubił i nie nmiął: improwizował tylko i to w chwilach wysokiego nastroju ducha.

Henryk Rzewuski pisał właśnie wtedy powieści Soplicy: Adam nie mało wpłynął na tę pracę. Sam też nawzajem pełną

piersią pochłaniał ów czar starodawnych tradycji, jaki Rzewuski roztaczał wkoło siebie. Temu w Rzymie spotkanin najpierwszego poety, z najznakomitszym powieściopisarzem współczesnym, zawdzięcza literatura nasza, dwa pierwszorzędne arcydzieła.

W miarę jak Rzewuski kreślił obrazki swoje, odczytywał je przy ulicy Mercede. Nieraz w skutek wynikłych rozpraw, dopisywał całe karty, w obec zebranego towarzystwa. Ewunia z ciekawością przysłuchiwała się tak czytaniu jak i rozprawom. Zima ta nie mało wpłynęła na zwrot jej myśli ku rzeczom narodowym.

Dowcip Rzewuskiego prawdziwie był niewyczerpany. Ożywiał on nie tylko nasze grono, ale niemniej ożywiał inne kółka rzymskie. Razu jednego zaproszony był na obiad dyplomatyczny do jednego z pierwszych ambasadorów. Ktoś z obecnych wysławał takt polityczny, z jakim Austria umie rozporządzać posłami. — Cesarz — mówiono — jako król węgierski, ma w Paryżu Apponyego, a Esterhazego w Londynie; jako król czeski ma w Rzymie hr. Lutzow; jako król Galicyi i Lodomerji utrzymuje w Szwecyi Woję, a w Hadze Miera.

— A jako król Jerozolimy, — przerwał Rzewuski — ma w Neapolu hr. Lebzerterna.

Wiadomo, że Habsburgowie, odziedziczyli niegdyś tytułarną godność królów Cypru i Jerozolimy, której do dziś dnia używają.

Słowa Rzewuskiego wywołały śmiech z ust zimnych nawet dyptomatów: nazajutrz powtarzano je w całym Rzymie.

Opowiadał potem Rzewuski, jak czując wyrzut sumienia za słowo rzucone lekko na Lebzerterna, którego rodowód nie był mu dostatecznie znany, pojechał do Monte-Cassino, jak spowiadał się przed pobożnym Benedyktynem, który za pokutę, nakreślił krzyż krędą na ziemi, i kazał go zlizać penitentowi swemu, czego on z pokorą dopełnił.

Do codziennych gości przy ulicy Mercede, należał Piotr Aigner, starzec przeszło ośmdziesięcioletni, urodzony w Warszawie, sławny swego czasu architekt. Onto między innemi wykonał plan kościoła Alexandryjskiego w Warszawie, on budował w Puławach, świątynię Sybilli na wzór podobniejszą w Tiwoli pod Rzymem. Wielki to był oryginał, zagorzały miłośnik architektury greckiej. Niecierpiał stylu gotyckiego ani maurytańskiego. Henryk Rzewuski z Zygmuntem na przekór staremu klasykowi, podnosili architekturę średniowieczną; wyliczali najpiękniejsze jej arcydzieła.

— Wszystko to mameluki — powtarzał Aigner, — prawdziwe barbarzyństwo: Grecy jedni rozumieli architekturę.

Starzec część życia przebył w Puławach: wielką czołą otaczał pamięć księcia generała ziem podolskich, jak on niecierpiał francuzechyżny. W polském gronie mówił zawsze po polsku; mię-

dzy Włochami używał włoskiego języka. Jeśli czasem wszczęła się rozmowa po francuzku, gniewał się i szarpał nie żartem.

— Gdyby tu był książę generał — mawiał zadąsany, — gotówby powiedzieć, że przyjechali Francuzi z Mokotowa (1).

Służył on niegdyś pod Kościuszką. Nazywałgo zawsze *pan Kościuszko*. Napróżno Zygmunt tłumaczył mu, że ów *pan* dodany do historycznego imienia, jest raczej ubliżeniem niż oznaką czci.

— Jakbym ja pragnął przestać być już panem Mickiewiczem, — mówił Adam.

Niepodobna było przekonać starca. Ów pan w oczach jego tak był niezbędnym, jak liść akantu na kolumnie korynckiej.

Otrzymał on niegdyś od Kościuszki tabakierkę, zwyczajną, okrągłą z toczonego drzewa. Nosił ją zawsze przy sobie, aż dnia jednego zgubił w Rzymie ów upominek. Przez kilka dni nie pocieszony był po tej stracie.

Przyszedł wreszcie na ulicę Mercede, z twarzą rozpromienioną.

— Jakbym zgadł, że zguba się znalazła, — rzekł Zygmunt.

— Tak jest, — odparł z tryumfem Aigner, — znalazłem wreszcie tabakierkę *pana Kościuszki*.

— A to gdzie? — zapytał Zygmunt.

— W sklepie — odparł, — dobywając z kieszeni pamiątkę.

— Ależ to nie ta — zawołali obecni. — Tamta była wytarta i zużyta, a ta zupełnie nowa.

— Już ciż nie ta — odrzekł — ale zupełnie taka sama. Dopóty dreptałem po kramach, aż znalazłem podobniutenką.

Innego dnia przyniósł portret świeżo namalowany: przedstawiał oficera kawalerii.

— Któż to jest? — zapytał Rzewuski.

— To mój brat pan Jakób.

— Czy przemalowany ze starego portretu? — zapytała hrabina.

— Wcale nie — odrzekł starzec. — My obaj podobni byliśmy do siebie, jakby dwie krople wody. Otóż ja kazałem wymalować moją twarz, tylko odmłodzoną o lat trzydzieści kilka, mundur zaś wykonany podług mego opowiadania.

Aigner niesłychanie był skąpy; odmawiając sobie wszystkiego, uciulał on pełną szkatułę złota. Żałował na pierwsze nawet potrzeby, karmił się jak mówił *aurorą*, i zalecał wszystkim ten pokarm.

Tę *aurorą* była mieszanina kawy i czekolady.

Kiedy umarł w kilka lat potem we Florencyi, znaleziono pod podłogą kilkanaście tysięcy dukatów. W szkatułce był testa-

(1) Książę zarzucał rodzinie Poteckich z Mokotowa, skłonność do przyjmowania mowy i obyczajów francuzkich.

ment: wszystko co miał zapisał ordynatowi Zamoyskiemu. Warto było żyć *aurorą*, aby dorzucić garstkę złota do milionów ordynatowskich? Pokazuje się jednak, że *aurora* służyła zdrowiu: Piotr Aigner umarł stuletnim blisko starcem.

Nakoniec towarzystwo przy ulicy Mercede, nagle się rozproszyło. Z licznego grona został tylko Rzewuski, Aigner, Zygmunt i Adam. Ostatniego wstrzymały jakieś nieprzelamane trudności paszportowe. Zygmunt nie mógł wyjechać ulegając stanowczej woli ojca.

Z początkiem roku zachmurzył się i rzymski widnokrąg. Krew popłynęła w różnych stronach Włoch, a nawet w państwie papieżkiem. Na górach Sabińskich, tuż u bram Rzymu, świeciły nocą rozpalone ogniska. Lud w mieście nadzwyczaj poruszony, oczekiwał tylko na hasło z zamku świętego Anioła; głoszone bowiem, że za uderzeniem dzwonu, malkontenci otrzymają broń i wystąpią do walki. Transteweranie ze swej strony, gorliwi obrońcy papieża gotowali się do odporu. Widzieli oni w cudzoziemcach główną przyczynę nieporządku: grozili im wyrznięciem. Sam Zygmunt o mało nie padł ofiarą ich drażliwości. Raz przechodząc ulicą przyglądał się pięknej transtewerance, stojącej na balkonie. Spostrzega to mąż, zastępuje mu drogę ze sztyletem.

— Przejdź prędko! — woła — albo nigdy więcej przechodzić już nie będziesz.

Wzburzenie rośnie z każdym dniem. Zakaz karnawałowych zabaw, tembardziej rozjątrzył umysły. Dnia jednego kilka głosów zawołało na placu: *Viva la repubblica*; przyszło nawet do strzałów.

Popłoch tak był wielki i obawa tak słuszna, że nikt z cudzoziemców nie wychodził z domu bez broni. To też i w domu hrabiego przy ulicy Mercede życie prowadzono niemal obozowe. Goście przychodząc na wieczór, zakładali cały stół krucicami, oczekując tylko na hasło świętego Anioła. Aigner oprócz krucicy przynosił szkatułkę ze złotem.

Ten burzliwy duch czasu, wpłynął silnie i na umysł hrabiego. Przychodziły mu zapewne do głowy rozmaite kombinacje; zdawało się jakoby myśl połączenia córki z wielkim poetą, mniej była mu wstrętną niż dotąd. Matka chciała kilkakrotnie pomówić z mężem w tym przedmiocie: Ewunia błagała aby zbytnim pośpiechem nie popsuć rzeczy.

— Tak przynajmniej — myślała w duszy — widując go codzień, wolno mi zamienić z nim słów kilka. Niechże się ojciec pogniewa, niechże nas ztąd wywiezie, a wszystko na zawsze się skończy!

Ten przyszło do wyznania. Wszystko i tak skończyło się na zawsze!

Adam wyjechał z Rzymu 20 kwietnia. W wigilią wyjazdu spędził wieczór w domu hrabiego. Przyniósł wielki tom Bayrona,

dał go Ewuni na pamiątkę. Ten Bayron był przedmiotem ostatniej ich rozmowy.

— Niechże on mi wywróży przyszłość—rzekł Adam,—zobaczmy co powie?

Otworzył książkę, —oczy jego spoczęły na słowach:

I utracisz je obie!

Słowa to z dramatu Sardanapal.

Adam umilkł; Ewunia zadrżała jak listek.

Przecucie mówiło, że to ostatni wieczór jaki mają spędzić z sobą.

Odchodząc Adam uściśnął jej rękę; wyrzekł stłumionym głosem:

— Niech cię Bóg błogosławi!

Ewunia uciekła do pokoiku swego, aby ukryć łzy przed wzrokiem cudzym. Otworzyła Bayrona. Mnóstwo było ustępów naznaczonych ołówkiem; najmocniej z nich odznaczony wiersz *Bądź zdrowa*.

Oto wiersz ten naśladowany z oryginału:

Jesli ku niebu w rozstania godzinie

Leci modlitwa za drugich zaslana,

Ach! moja pewno w powietrzu nie zginie;

Lecz imię twoje zaniesie do Pana.

Po co mi płakać, i wdychać mi po co?

Nad łzy, nad skargi, ja krwawsze znam słowa,

Szaloną bolu wydobyte mocą,

Z tajników duszy: bądź zdrowa! bądź zdrowa!

Me usta nieme i suche me oko,

Lecz boleść w mózgu ład myśli roztrąca,

Zgryzota w serce utkwila głęboko,

I sen mi z powiek zgania myśl trująca.

Choć żal mną miota i rozpacz wre we mnie,

Z ust próżnej skargi nie wybiegną słowa,

Ach to wiem tylko, żem kochał daremnie,

I tylko szepczę: bądź zdrowa! bądź zdrowa!

Nazajutrz z rana Adam odjechał: odtąd Ewunia, nigdy go już widzieć nie miała.

Tak się zakończył dwuletni okres w życiu wielkiego poety naszego: okres ten nie przeszedł nadaremno. Adam zaczerpnął w nim pobudkę do dwóch najznakomitszych poematów, w których występuje uroczą postać Ewy, otoczona anielską aureolą.

A Ewunia, biedna Ewunia!.. i cóż jej pozostało z tych dwóch lat niewypowiedzianego czaru? Odpowiedzmy słowami Pola:

To co zostaje nam po wieszczém słowie,

Po łzach, po rosie, po pieśni w Dąbrowie.

Nie miejsce tu ani pora kreślić zyciorys tej, którą ośmieliliśmy się przezwąć Ewunią, jak Adam nazywał ją w sercu swoim; dotknijemy tylko w przelocie kilku chwil, spojonych ścisłej z przeszłością złotem ogniwem wspomnienia.

Zimę następną przepędziła znów w Rzymie z rodzicami. Zebrania przy ulicy Mercede liczniejsze bywały niżeli w roku zeszłym. Ożywiał je Henryk Rzewuski; Zygmunt K. oświecał je wschodzącą zorzą geniuszu swego. Brakowało Adama, brakowało go wszystkim, a cóż dopiero powiedzieć o Ewuni!

Adam spędził jesień w Księstwie Poznańskim, zimą przebywał w Dreźnie. I czemuż nie przybył do Rzymu? Domyślamy się nie bez powodu, że Henryk Rzewuski, z którym był w oiągłej korespondencyi, musiał zbadać hrabiego, musiał przekonać się, że nie przełamie żadną siłą woli dumnego magnata. Zachwiany nieco w roku zeszłym, lecz wytrzeźwiony z chwilowego tumanu, hrabia nie chciał słyszeć o związkach tak niestosownych według niego. Nie przyjeżdżał więc Adam, szanując spokojuś Ewuni.

W ciągu tej zimy 1832 roku, przebywali w Rzymie trzej znakomici Francuzi: książdz Lacordaire, ks. Lamenaïs i hrabia Montalembert. Często bardzo odwiedzali oni gościnny dom polski. Tu młody podówczas Montalembert poznał księżniczkę Jadwigę Lubomirską. Silne uczucie połączyło ich serca. Księżna matka nie miała nic przeciwko temu; Montalembert lubo wówczas jeszcze nie bogaty, był już parem Francyi; świetna przyszłość otwierała się przed nim. Napisała więc księżna do męża przebywającego w dobrach swoich Przeworsku. Książę przybył natychmiast, ale głuchym był na wszelkie przedstawienia i prośby.

— Co? ja miałbym wydać córkę za jakiegoś dziennikarza? feuilletonistę?—odpowiadał z gniewem, ilekroć była mowa o związkach, tak ubliżających jego dumie!

Księżniczka Jadwiga o mało nie przyplaciła zyciem. Rodzice wywiezli ją z Rzymu; Montalembert pospieszył za nimi do Pragi. Wkrótce jednak, widząc bezskuteczność zabiegów swoich, z rozdartem sercem, powrócił do Rzymu. Hrabina S. była powiernicą jego boleści. Odtąd pisywał do niej stale; pozostało w rodzinie kilkadziesiąt listów znakomitego pisarza, z których możnaby zebrać tomik. Czytaliśmy z nich kilka, wszystkie nacechowane myślą wyższą i głębokiem uczuciem.

Ewunia podzielała całą duszą cierpienia księżniczki Jadwigi, bolała szczególnie nad jej losem, kiedy biedna ulegając woli ojca zmuszoną była oddać rękę księciu de Ligne.

Adam pisywał od czasu do czasu do hrabiny. Czytywała te listy Ewunia, i słabiuchny promyczek nadziei, polyskiwał na dnie jej serca; wkrótce i ten zagasnął.

Z ostatnim listem przysłał Adam tylko co wydany poemat: *Pana Tadeusza*. Najrzewniejsze ustępy z opowieści Jacka Soplicy, zakreślone były jego ręką. Co się działo w jej sercu kiedy czytała te słowa:

Jakże mocno musiałem kochać tę niebogę
Tyle lat, gdzieś ja nie byłem! a przecież nie mogę
Ję zapomnieć, i zawsze ję postać kochana,
Stoi mi przed oczyma jakby malowana.

Te proste a tak rzewne słowa, były niemniej obrazem i ję uczuć.

Książka doszła rąk Ewuni w Krakowie, gdzie przebywała z rodzicami. Wkrótce po ję odebraniu, kiedy żyła pod pełnym urokiem zbndzonych wspomnień, rozeszła się wiadomość, że Mickiewicz zaręczony z panną Celiną Szymanowską. Opowiadano w jaki sposób powziął myśl owych związków. Spotkał w Paryżu szwagra Celiny p. Maleskiego, z którym znał się od dawna. Ten widząc go bardzo znegkanym i osamotnionym, namawiał go aby się ożenił.

— A z kim?—zagadnął Adam.

— Gdyby naprzykład z siostrą żony mojęj, z tą małą Celiną, którą znalazł w Petersburgu prawie dzieckiem — rzekł Maleski.

— Ha! gdyby tu była — odrzekł Mickiewicz — kto wie, możeby to i nastąpiło!

Maleski napisał czémprędzej do żony; wyprawiono Celinę do Paryża.

Nie wiemy co cierpiało serce Ewuni, kiedy Celina przejeżdżała przez Kraków. Wiemy tylko, że w kilka tygodni potem, rodzice zatrwożeni stanem ję zdrowia, wywieźli ją do Ems, stosownie do rady lekarzy.

W przejeździe przez Wiesbaden, hrabina wyczytała na liście zebranych u wód osób, imię Zygmunta K.

Uwiadomiony przybył natychmiast.

— Czy panie wiedzą wielką nowinę — zagadnął zaraz po przywitaniu. — Mickiewicz się ożenił!

Oczy wszystkich zwróciły się na Ewunię. Zygmunt rad był odwołać nazbyt pospieszne słowa, lecz było już zapóźno.

Ewunia umiała być panią siebie; nie okazała najmniejszego wzruszenia. Co się wtedy działo w ję duszy, zostało tajemnicą pomiędzy nią a Bogiem.

W Ems nowe czekały ją próby. Przybyły tam z Paryża krewne Celiny; starały się o poznanie z rodziną S. Uczucia Adama były im znane niewątpliwie, bo i któż w Paryżu, z przyjaciół wielkiego poety, nie wiedział kogo miał na myśli malując uroczą Ewunię w panu Tadeuszu? Delikatność sama nakazywała milczenie. Tymczasem panie te, codzień przez sześć tygodni, unosiły się w obec hrabiny i ję córki, nad niesłychaną miłością Adama ku Celinie. W sposobie ich mówienia, przebijała wyraźnie zła wola: Ewunia była jak na torturach.

Pojmujemy, że w takiem usposobieniu umysłu i serca, nie wiele dbała o zabawę i stroje. Ubiór ję był zawsze bardzo skro-

mny. Włosy zapinała poprostu, wbrew modzie, która wymagała wysokich koków. Otóż sposób jej czesania, wywołał surową krytykę pomiędzy rodaczkami. Widziano w tej prostocie pretensjonalność, chęć wyróżniania się z pomiędzy tłumu.

— Godzisz się tak układać włosy?—rzekła jedna z wytwornych pań przy Zygmuncie—na głowie nie ma nic.

— Może być że nie ma nic na głowie—odrzekł porywczy Zygmunt,—ale co w głowie, to mogę ręczyć że ma więcej niż te wszystkie panie razem, co ją tak ostro krytykują!

Zygmunt okazywał się zawsze prawdziwym jej przyjacielem. Wkrótce potem napisał do niej z Rzymu list żartobliwy; przytaczamy z niego początek.

„Pięć tysięcy dziewięset sześćdziesiąt i pięć jaszczurek, z murów otaczających *porta pia*, pnąc się po basztach Belizaryusza, zoczywszy mnie zatrzymały się, i wszystkie ząbki białe do mnie wyszczerzyły i oczyma brylantowemi patrząc w słońce, kazały się pani kłaniać i pytały czemu tu pani nie ma? Zaprawdę i ja to samo podaję pytanie: Czemu pani tu nie ma?”

Dwa inne listy Zygmunta załączymy do następnej kroniki.

Odtąd ustala zupełnie korespondencya Adama z hrabiną. W parę lat dopiero po jego ożenieniu Ewunia poszła za mąż, lubo jak się łatwo domyśleć, kilkomilionowej dziedzicze, do tego urodziwej i wytwornie wychowanej, nie zbywało na starającej się o rękę jej młodzieży. Wróżba cyganki z Tivoli sprawdziła się co do słowa: po śmierci pierwszego męża weszła w powtórne związki.

Od czasu do czasu dobiegały ją wieści o Adamie. Ilekroć spotkał w Paryżu Strzeleckiego, prawdziwie był uradowany.

— Gdybyś ty wiedział—mówił nieraz—ile ty mi słodkich chwil przypominasz!

Montalembert w listach do hrabiny, poświęcał nieraz długie ustępy Adamowi.

Panna Aniela Kuszel, autorka wspomnień o Włoszech, spędziła w Rzymie rok 1849. Był tam wówczas i Adam. Młoda rodaczka pragnęła poznać wielkiego poetę, lecz przystęp do niego niesłychanie był trudny.

— Pan stronisz odemnie — rzekła raz przy spotkaniu — a przecież ja znam kogós, o kim byłoby mu przyjemnie coś posłyszeć.

I wspomniała imię Ewuni.

Czoło Adama nagle rozpromieniało.

— Mów mi pani o niej!—zawołał.—Słyszałem że żyje w wielkim świecie, że utonęła w zbytkach!

— Co do zbytków—odrzekła panna K.—nie widziałam ich nigdy w jej domu, chyba może nazwiemy zbytkiem piękną bibliotekę, i dzieła pańskie oprawione przepysznie!

Odtąd Adam nie stronił już od pauny Anieli, przeciwnie, sam szukał jej towarzystwa.

— Powiedz pani jeszcze co o niej!—powtarzał przy każdym spotkaniu.

W kilka lat później przysłał Ewuni pierścionek otrzymany niegdyś od hrabinéj. Prosił aby go dała synowi swemu jak dorosnie.

Po śmierci zony w roku 1855, Ewunia napisała do niego. Był to pierwszy w życiu jój list do Adama. Odpisał natychmiast; przy dacie położył: Pierwszy dzień Wielkanocy i wiosny. List to nadzwyczaj przyjaźnielski; zaczyna się od słów: „Wielce droga i szanowna pani H.,” wypytuje troskliwie o szczegóły z jój życia, o powodzenie; dziękuje za pamięć. O żonie wcale nie wspomina, zapewne przez uczucie delikatności.

Ewunia napisała powtórnie, odpowiadając na przyjaźnielskie zapytania. List jój doszedł do Paryża w chwili gdy Adam wyjeżdżał na Wschód.

Oto jego odpowiedź, datowana z Marsylii. Pisał to na parę miesięcy przed śmiercią.

Marsylia, 13 września 1855 roku.

„Nie będziesz mnie miała za natręta, jeżeli co kilka miesięcy, odezwę się czasem do ciebie, wielce droga pani. Zgodziłbym się był dawniej, gdybym miał coś pewnego donieść o sobie. Ale w tych ostatnich miesiącach, spadły na mnie nowe i niespodziane kłopoty. Zanosiło się na to, że miałem zmienić miejsce pobytu, i przejechać gdzieindziej z całą rodziną. Ten zamiar nie wziął skutku; rodzinę zostawiam, tylko sam puszczam się w podróż. Stało się to wszystko nagle. Odebrałem przed kilku dopiero dniami, polecenia naukowe od rządu, dotyczące się Wschodu, a dziś już wsiałam na okręt, płynący do Stambułu. Jak długo tam zabawię, nie wiem jeszcze.

List twój ostatni, pani, mocno mnie zasmucił. Nie wiedziałem wcale, iż tylu klęskami byłaś dotknięta osobiście. Nie uwierzysz jak mi było mile dawniej myśleć o tobie, jako o istocie szczęśliwej. Owóz i to złudzenie znikło!

Bądź łaskawa od czasu do czasu pisz do mnie!”

Zaczem Ewunia zebrała się odpowiedzieć na ten list, rozległa się jak grom wiadomość o śmierci Mickiewicza.

Wiadomość tę odebrała ona w Krakowie, gdzie z kolei, pogrzebała ojca, matkę, męża, a nakoniec jedyne go syna, któremu Adam przysłał niedawno pierścionek w upominku.

Pozwalamy sobie z albumu tej, którą nazwaliśmy Ewunią, wypisać wierszyk skreślony z uczuciem wysokiego poważania i przyjaźni:

Pozwól mi pani popatrzeć w twe oczy,
Scisnąć twą rękę: to ręka ta sama,
Którą w godzinie natchnienia proroczej,
Scisnęła ręka wieszczego Adama!

Niech głosu twego schwycę drżące tony,
On jeszcze dzwoni tak lubo, tak słodko.
Jak dzwonił niegdyś, gdy wieszcz rozmarzony,
Gwarzył nad Tybrem z Ewunią szczebiotką.

Przyłóż, ach przyłóż do klawiszów dłonie!
Niech serce moje do gruntu poruszy,
Ta czarodziejska śpiewka o Filonie,
Co wyrывała gromy z jego duszy!

Pozwól uchylić tę mglistą zasłonę,
Co skarbiec wspomnień pokryła bogaty;
Gdzie pod całunem przeżyły złożone
Rąbki snów złotych i marzenia kwiaty.

Pozwalasz pani... uchylasz ją sama,
Widzę pierwiosnki!.., o jak cudne barwę,
Z Doria Pamfili! i ręką Adama,
Pęk niezabudek uszczknięty nad Arwą.

Widzę i perły.. sznurek tajemniczy,
Zronione w cichej żywota żałobie,
Albo na grobie uludy dziewiczej,
Albo na wieszczu wypłakane grobie.

Przebacz mi pani, jeżeli zbyt śmiało
Odchylam drugim ten całun uroczy;
To, na co oko me ze cześcią patrzyło,
Niechże i bratnie rozraduje oczy.

Przebacz mi pani, lecz ten skarb bogaty,
W urnę pamiątek składany od młodu;
Te drogie rąbki, te perły, te kwiaty,
To drogocenna puścizna narodu!

